

„ORZEŁ BIAŁY“  
(White Eagle)  
(L'Aigle Blanc)

Novembre  
1970

Price 4/-

Cena 4/-  
\$ 0.50; 2.70 F.



# SYRENA

ORZEŁ BIAŁY

Nr 76/1223  
1970

B.D.I.C.

LISTOPAD

*Polska walcząca o wolność*

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM WSPÓŁCZESNYM



**W te nasze Listopadowe Rocznice . . .**

FOP 2156

EUGENIA WASILEWSKA

## SREBRNA MADONNA

THE SILVER MADONNA

Zdumiewający dokument ucieczki Polki wywiezionej do Rosji z Syberii do granic własnego kraju. Wzruszające przeżycia w czasie wielomiesięcznej podróży, na wolności oraz w pociągu więziennym.

Wymarzony podarek świąteczny dla naszych przyjaciół angielskich i polskich.

Cena £ 1.80 = 36s.

George Allen and Unwin

London, 1970

Ś. † P.

## JERZY MIECZYŚLAW RYTARD

(Mieczysław Kozłowski)

poeta, prozaik, były Skamandryta, zmarł po długich i ciężkich cierpieniach, dnia 21 września 1970 r. w Warszawie.

Nabożeństwo żałobne odbyło się w dniu 25 września o godz. 13.30 w kościele św. Karola Boromeusza na Powązkach, po czym nastąpiło wyprowadzenie zwłok do grobu rodzinnego na Powązkach, o czym zawiadamiają pozostali w głębokiej żałobie

siostra, szwagier i siostrzenica z rodziną

### LISTY DO REDAKCJI

#### „WSZYSTKO TO... JASNO WYNIKA Z MEJ KSIĄŻKI...“

Szanowny Panie Redaktorze,

1 W październikowym „Orle Białym“ znajduję odpowiedź p. Stefana Benedykta na mój list w poprzednim numerze, gdzie bronilem mej książki o Sikorskim przed zarzutami stronnictwa. Przechodząc do ataku domaga się mój krytyk wyjaśnienia mego stosunku do Komendanta Piłsudskiego w dobie Legionów i później. Wszystko to, jak mi się zdaje, jasno wynika z mej książki a także z serii artykułów w „Bellonie“ (i osobnej odbitej) p. „Wskreszenie wojska polskiego“ (Londyn 1960). Mjr Benedykt dopatruje się jakiejś dwulicowości w moim postępowaniu. Nie było zaś cienia dwulicowości. Byłem żołnierzem Pierwszej Brygady, czułem na jej dobre imię. Od lat dziecięciu oddanym Komendantowi Głównemu. Z najgłębszym uszanowaniem odnosiłem się do jego osobistych aktów ofiary, nawet gdy nie wydawały mi się celowe. Ale nie ukrywałem nigdy przed nim, że nie podejmę się żadnej akcji przeciw zaciągowi do Legionów i rozrostowi wojska, że polityki takiej nie podzielałem.

23 Po Kostiuchnowce, w czasie walk nad Stochodem, Komendant podał się do dymisji i otworzył tym kryzys zwany „dymisyjnym“. W razie przyjęcia dymisji Komendanta wszyscy mieli żądać zwolnienia z Legionów, a poddani austriacy przeniesienia do wojska austriackiego. Za tym poszła istotnie nasza brygada oraz ulamki innych. Ja wniosłem podanie o dymisję jako oficer; nie mogąc zapobiec udziałowi mych podkomendnych w ogólnej manifestacji „dymisyjnej“, zrzekam się stopnia a proszę o zatrzymanie jako szeregowego w ostatnim oddziale wojska polskiego jaki pozostanie pod bronią. Wypadki poszły inaczej. Przyszedł manifest listopadowy. Przywrócone imię Polski. Zapowiedź wojska polskiego. Komendant zażądał teraz całkowitego podporządkowania się dyscyplinie wojskowej. Ale w lipcu,

w kryzysie przysięgowym, Galicjanom znowu nakazał prosić o zmianę munduru polskiego na austriacki. Takiej prośby nie podpisałem i nikomu nie radziłem podpisać.

NB. Trzeba pamiętać, że wszystkich nas Galicjan wzięła formalnie ta przysięga, którą z nakazu Komendanta składaliśmy w r. 1914, w Krakowie i Kielcach, cesarzowi Austrii — bez wzmianki o Polsce. Tę nową składał tylko żołnierz z zaboru rosyjskiego na wierność „Ojczyźnie, Królestwu Polskiemu“, a ze wzmianką o dotrzymaniu braterstwa broni wojskom obu cesarzy i ich sprzymierzeńców (tj. że otrzymanej od nich broni nie obrócimy przeciw nim). My, Galicjanie, nie byliśmy do niej dopuszczeni. Aż do października 1918 r., gdy Rada Regencyjna objęła władzę nad wojskiem i gdy przysięgaliśmy wszyscy wierność Ojczyźnie, a nie było tam wzmianki o sprzymierzonych cesarzach i ich wojskach.

Nie idę już dalej. O dramacie wojska polskiego przeżyłem w latach 1916—1918 i o polityce Komendanta trzeba by pisać całą rozprawę. Odkładam ten temat i późniejsze sprawy do „pamiętników czasów moich“, które (śludem starego Niemcewicza) zamierzam pisać, jeśli siły pozwolą.

Na razie tyle tylko: że żołnierskie przywiązanie do wodza nie musi zaślepić. Wojsko narodowe to ani gwardia prełatoriańska, ani gwardia Mameluków, ani opróczina. A przykładów takich nieporozumień nie brak w (słusznie) zachwalanej przez p. Benedykta księdze prof. Pragiera „Czas przeszły dokonany“.

Uboczna uwaga. P. Benedykt wypowiedział Sikorskiemu, że miał w ręku dokument tak potężny, jak traktat polsko-brytyjski z 25 sierpnia 1939. A czy Pan Major traktat ten czytał i protokół tajny? Są w „Documents on Polish-Soviet Relations“ i jest interpretacja nadana tym dokumentom przez brytyjskich mężów stanu i do-

(C.d. listów na 3-ej str. okł.)

#### W NUMERZE:

- J. Drobnik: Polityka faktyczna czy taktyczna? 1
- J. Lobodowski: „Boże, nie daj mi płakać na gruzach Paryża“ 4
- B. Helczyński: Kongres Współczesnej Nauki i Kultury polskiej na Obczyźnie 6
- W. Netter: Jaki ustrój panuje w Polsce? 8
- Z. Grabowski: Refleksje na temat demokracji 10
- M. Wyrwicz: Polska na szarym końcu krajów za żelazną kurtyną 13
- K. Glabisz: Generał Sosnkowski w Polsce niepodległej 15
- F. Goldschlag: Wielkość i medycyna 1
- K. Brzozowska: Jerzy Mieczysław Rytard — obrońca przegranej sprawy 21
- J. M. Rytard: „Komunikat“, „Sen czy mara?“ 23
- M. Tomkiewicz: Refleksje ze snoblandu 24
- F. Chrzanowski: Kalejdoskop włoski 27
- E. Wasilewska: Spotkanie z Lubą 29
- A. Pachulski: Rycerz ze skazą 32
- J. Ostrowski: Monografia o Tyzenhauzie 34
- Kage: Przegląd spraw wojskowych 36
- Z życia polskiego
- A. Szachnowski: Wielka Brytania kraj duchów 38
- H. Żurkowska: Migawki z przedsiönka Kongresu 39



**D**LA OCENY polityki poszczegól-  
 nych państw ważne jest nie  
 tylko słowne ujęcie umów, które  
 między sobą zawierają, ale przede  
 wszystkim odpowiedź na pytanie,  
 czy słowom odpowiada rzeczywista  
 treść dążeń, które mają wyrazić.  
 Jeżeli chodzi o stosunki polsko-nie-  
 mieckie, to mamy niestety w tym kie-  
 runku bardzo przykre doświadcze-  
 nia. Począwszy bowiem od przymie-  
 rza Polski z Brandenburgią w okre-  
 sie wojen szwedzkich, od przymie-  
 rza Polski z Prusami w wieku XVIII  
 a kończąc na porozumieniu polsko-  
 niemieckim za czasów Hitlera,  
 wszystkie umowy polsko-niemieckie  
 zostały przez stronę niemiecką zła-  
 mane. Dlaczego?

Bo nie były one po stronie nie-  
 mieckiej wyrazem istotnej woli po-  
 rozumienia, ale jedynie taktycznymi  
 posunięciami. Ukrywały one polity-  
 ką posuwania się na wschód — któ-  
 ra za maską porozumienia się z Pol-  
 ską wyciągała ręce do Rosji, ażeby  
 w przymierzu z nią i za jej popar-  
 ciem przyłączyć do Niemiec ziemie  
 polskie. Ostatnim jaskrawym przy-  
 kładem tej polityki była umowa Rib-  
 bentrop-Mołotow. Szła ona jednak  
 jeszcze dalej, niż poprzednie anty-  
 polskie porozumienia z Rosją. Nie  
 poprzestawała bowiem na podziale  
 Polski, ale była nawet w stosunku  
 do Rosji wyłącznie posunięciem tak-  
 tycznym, etapem do dalszego ude-  
 rzenia. Uważając Polskę za ostate-  
 cznie unicestwioną, Hitler z kolei  
 spróbował rozbić Rosję.

Można spokojnie powiedzieć, że  
 wszystkie dotychczasowe umowy  
 Niemiec z państwami położonymi od  
 nich na wschód były z ich strony  
 tylko posunięciami taktycznymi i że  
 słowa nie odpowiadały ich istotnej  
 woli. Tradycja tej polityki sięga cza-  
 sów średniowiecza. Prawdą jest, że  
 był okres, w którym panowała wzglę-  
 dna stabilizacja granicy polsko-nie-  
 mieckiej. Kto jednak na tę przerwę  
 się powołuje jako na dowód, że nie-  
 miecka ekspansja nie zawsze szła na  
 wschód, zapomina o tym, że był to  
 w Niemczech okres, na którym pię-  
 tno wycisnęła wojna trzydziestole-  
 tnia. Niemcy nie byli w tym czasie  
 w ogóle zdolne do ekspansji, i to  
 zwłaszcza też, do ekspansji na  
 wschód. Pokój z Polską nie był wte-



# ORZEŁ BIAŁY

*Polska walcząca o wolność*  
 MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM  
 WSPÓŁCZESNYM

Nr 76/1223

LISTOPAD 1970

Rok XXX

JERZY DROBNIK

## POLITYKA FAKTYCZNA CZY TAKTYCZNA?

dy wyrazem woli, ale wynikiem roz-  
 przeżenia w Niemczech. Z chwilą  
 jednak, gdy organizacja siły nie-  
 mieckiej znalazła swój wyraz w  
 Brandenburgii, z której wyrosło kró-  
 lestwo pruskie, odrodziła się ponow-  
 nie dążność do ekspansji wschod-  
 niej.

Jeżeli mamy dzisiaj oceniać przy-  
 szłość stosunków polsko-niemiec-  
 kich, należy sobie odpowiedzieć trze-  
 źwo na pytanie, jakie jest istotne  
 położenie w Niemczech, innymi sło-  
 wy, czy istnieją warunki do wzno-  
 wienia niemieckiej ekspansji wscho-  
 dniej? Bó słowa, i to nawet słowa  
 traktatów, niewiele znaczą. Nie  
 wiele też znaczy wola stabilizacji,  
 istniejąca tylko po jednej stronie,  
 to znaczy po stronie polskiej. Nie  
 ze strony polskiej wychodziły bo-  
 wiem jej naruszenia. Chodzi więc o  
 pytanie, jakie są — albo mogą być  
 — istotne zamiary Niemiec. Czy są  
 one takie same, jakimi były dotych-  
 czas, czy też olbrzymie wstrząsy i  
 zmiany, jakie nastąpiły na świecie  
 wskutek ostatniej wojny stworzyły  
 tak bardzo nowe położenie, że pro-  
 ste przedłużenie dotychczasowego  
 kierunku polityki niemieckiej stało  
 się de facto niewykonalne. I czy  
 wskutek tego nastąpiły również  
 zmiany w psychice i w dążeniach  
 Niemiec względnie, czy wyrzekły się  
 one rzeczywiście celów swojej do-  
 tychczasowej polityki wschodniej,  
 której Polska była zawsze i byłaby

w danym razie nadal przedmiotem  
 i ofiarą.

Otóż nie ulega wątpliwości, że  
 położenie i układ sił w Europie i  
 na całym świecie zasadniczo się  
 zmienił. Charakteryzuje go powsta-  
 nie dwóch „supermocarstw“, to zna-  
 czy U.S.A. i Rosji oraz pojawienie  
 się na horyzoncie trzeciego super-  
 mocarstwa, to jest Chin. Znaczenie  
 państw europejskich w stosunku do  
 tych mocarstw zmalało. Nad wscho-  
 dnią Europą panuje w istocie Ro-  
 sja a państwa, należące do tak  
 zwanego Bloku Wschodniego nie  
 są samodzielne, względnie granice  
 ich samodzielności wykreśla im Ro-  
 sja. W zachodniej Europie wpływy  
 amerykańskie oddziałują w porów-  
 naniu z Rosją znacznie łagodniej,  
 samodzielność państw zachodnich  
 jest dużo większa, a nawet może się  
 posunąć do sprzeciwu przeciwko po-  
 lityce U.S.A. jak tego dowiodła nie  
 tak dawno temu polityka gen. de  
 Gaulle.

Pomimo to trudno sobie wyobra-  
 zić, ażeby takie czy inne państwo  
 zachodnio-europejskie zaczęło pro-  
 wadzić politykę bez oglądania się  
 na U.S.A. Tak np. zbrojny pochód  
 Niemiec na Wschód byłby dzisiaj  
 możliwy tylko za wyraźnym popar-  
 ciem albo nawet pomocą U.S.A. A  
 tego poparcia U.S.A. na pewno nie  
 udzieli.

Trzeźwe zbadanie układu sił na

świecie i w Europie nie przemawia więc dzisiaj za możliwością podjęcia niemieckiej polityki wschodniej w jej dotychczasowej historycznej postaci. Zapewnienia pokojowe, które słyszymy z ust polityków niemieckich, mają z tego punktu widzenia rzeczywistą podstawę.

Ten stan rzeczy mógłby wpłynąć na istotną zmianę stosunku Niemiec do wschodniej Europy, a zwłaszcza do Polski pod jednym warunkiem: że odpowiadać mu będzie drugi czynnik, mający wpływ na kierunek polityki danego państwa i narodu, a mianowicie czynnik myśli politycznej i **szczerzej woli**. Dopiero wtedy słowom i umowom może odpowiadać rzeczywista treść, dopiero wtedy przestają one być wyłącznie taktyką polityczną, za którą kryją się inne cele i która się zmienia natychmiast przy zmianie położenia. A wiemy z doświadczenia, że warunki i stosunek sił jest taki, a za kilka lat może być inny. A wtedy polityka, która opierała się tylko na określonym układzie sił, a za którą kryły się inne dążenia, zmienia się również. Stąd, ażeby ocenić wartość jakiegś umowy i w ogóle wartość słów i oświadczeń poszczególnych mężów stanu **na dalszą metę**, należy oprócz zbadania stosunku sił, to znaczy uchwytnej podstawy danego oświadczenia, przyjrzeć się dokładnie kierunkowi myśli i woli, panującej w danym narodzie. Żyjemy bowiem dzisiaj w epoce takich wstrząsów i przewrotów, że nikt nie może przewidzieć, co będzie za lat dziesięć. W tych warunkach pierwiastek psychiczny, pierwiastek myśli i woli jest czynnikiem trwalszym, niż podstawy uchwytne. On tylko może nadać pewną trwałość słowom i umowom, wynikającym z chwilowego położenia i zmieniającym się razem z nim.

Jeżeli chodzi o Niemcy, to dzisiejsza polityka odpowiada w pełni obecnemu układowi sił na świecie i ich własnym w tym układzie możliwościom. Wyrzekając się np. użycia siły, są na pewno dzisiaj szczerze, chociażby dlatego, bo jej nie mają. Ale jaka będzie ich polityka za lat dziesięć albo nawet pięć?! Niestety, jeżeli chodzi o istniejące w Niemczech zapatrywania i dążenia, należy zachować dużą otyrożność. W

stosunku do Polski istnieją bowiem nadal te same prądy rewizjonistyczne wyczekiwanie na taką zmianę położenia, które by ich urzeczywistnienie umożliwiło, jakie widzieliśmy w 20-leciu między dwoma wojnami. Jest tylko ta różnica, że wtedy chodziło o odzyskanie granic sprzed pierwszej wojny, a dzisiaj na razie o odzyskanie granic z roku 1937. Rewizji granicy na Odrze i Nysie domagają się właściwie wszystkie stronnictwa polityczne w Niemieckiej Republice Związkowej. Istnieją wprawdzie niektóre odłamy, które skłaniają się ku uznaniu tej granicy, ale nie mają one głosu decydującego. Oficjalna polityka rządu, jak dotąd stała na stanowisku, że sprawa granicy może być rozstrzygnięta dopiero w traktacie pokojowym, innymi słowy zastrzega sobie możliwość uzyskania jej zmiany. Słowo „uznanie“ granicy **nie** pojawia się też w traktacie zawartym 12 sierpnia między Bonn i Moskwą, chociaż jest ona określona jako „nienaruszalna“. Słowo to nie wyklucza jednak w pojęciu Niemiec możliwości zmiany przez dobrowolną umowę zainteresowanych stron, jak to stwierdził sekretarz stanu w urzędzie kanclerskim i jeden z głównych członków delegacji niemieckiej do rokowań w Moskwie, Egon Bahr w liście do „Le Monde“, a także w ogłoszonych w Niemczech wywiadach. Innymi słowy w pojęciu Niemiec sprawa granicy na Odrze i Nysie mimo wszystko nie jest zamknięta.

Cóż, w okresie zakończenia wojny partia hitlerowska liczyła około 9 milionów członków. Z nich żyje jeszcze według dokonanych przez specjalistów obliczeń 6 milionów, a z tej liczby w Niemieckiej Republice Związkowej około 4 milionów. Zajmują oni dzisiaj rozmaite stanowiska i co jakiś czas wybucha skandal, że taka czy inna wysoko postawiona osobistość ma z czasów hitlerowskich bardzo kłopotliwujące karty. Wśród tych milionów duch hitlerowski nie wygasł, chociaż nie zawsze się ujawnia. Dążenia rewizjonistyczne znajdują w nich podatny grunt.

Nie możemy oczywiście w krótkim artykule rozwinąć się szerzej nad panującą w Niemczech atmo-

sferą rewizjonistyczną, z którą łączy się bardzo wyraźnie między innymi kandydaci na posłów — i członkowie każdorazowego rządu. Można by na ten temat napisać całą broszurę z przytoczeniem przykładów i dowodów. Spójrzmy jednak dzisiaj na jeden z bardzo charakterystycznych, a mianowicie na organizację tak zwanych „wysiedleńców“ („Bund der Vertriebenen“ — „Związek Wgnanych“). Wpływy tej organizacji sięgają do wszystkich stronnictw w Niemieckiej Republice Związkowej, zarówno do CDU/CSU (Chrześcijańscy Demokraci), jak też do partii liberalnej oraz do partii socjalistycznej, nie mówiąc już o nacjonalistach. Stanowisko, zajmowane przez tę organizację zarówno na zebraniach, jak też w wydawanych przez nią pismach, jest wyrazem dawnej nieustępliwej niemieckiej polityki wschodniej, domagającej się zwrotu ziem, należących przed wojną do Niemiec. Czy wszyscy jej członkowie są prawdziwymi „wgnaniami“, to inne pytanie. Należy zresztą przypomnieć, że wielka ilość opuściła miejsce zamieszkania na wezwanie rządu hitlerowskiego przy zbliżaniu się armii rosyjskiej. Są to więc raczej dobrowolni uchodźcy, a nie „wgnanicy“. A poza tym jako „wgnanicy“ organizacja liczy za przyzwoleniem rządu nie tylko tych, którzy mieszkali na ziemiach za Odrą i Nysą, ale również ich dzieci i wnuki, urodzone już w Niemieckiej Republice Związkowej. W ten sposób liczba „wgnanicy“ nie maleje, co byłoby rzeczą normalną w miarę ich wymierania, ale rośnie. I tak w roku 1949 podawano ich liczbę na 7,7 milionów, w roku 1960 już na 9,9 milionów, a w roku 1969 na około 12,200.000. Mimo woli nasuwa się pytanie, ile ich będzie w ten sposób za lat dwadzieścia?

Ruchliwość organizacji „wgnanicy“ (BdV), liczącej 2,5 milionów aktywnych członków, jest bardzo duża. Świadczą o tym liczne zjazdy i interwencje u rządu i u partii politycznych, w których zresztą zasiadają rozmaici jej członkowie. A przyglądając się jej daleko idącej działalności rewizjonistycznej nie wolno zapominać o **rzeczy bardzo ważnej**: Była ona i jest wydatnie



finansowana przez rząd, który w ten sposób podtrzymuje dążenia rewizjonistyczne w narodzie niemieckim — bez względu na gwałtowne ataki przeciwko sobie, za swoją rzekomo zbyt ustępliwą politykę. Wyrażenia i zarzuty takie, jak „zdrada kraju“, „wyrzekanie się dobra narodowego“, „wyprzedzić“ itd. sypią się ze strony „wygnańców“ jak z rękawa.

Jedno ze źródeł subwencji rządowych kryje się w tytule budżetowym 68501, brzmiącym „Subsydia dla instytutów badawczych o celach kulturalnych i narodowo-politycznych i podobnych urzędów oraz dla ogólnych celów kulturalnych“.

Subsydia te są bardzo poważne. Wymieńmy kilka cyfr: Otóż w roku 1966 przeznaczono na ten tytuł 96 milionów marek niemieckich, w roku 1967 sumę 44,5 milionów marek, w roku 1968 suma ta wyniosła 57,2 milionów marek, a w roku 1969 zawsze jeszcze 42,3 miliony marek. A nie jest to jedyne źródło.

Możnaby pomyśleć, że głoszący hasła zgody z Polską rząd socjalistyczno-liberalny kanclerza Brandta znieśli te subsydia albo co najmniej wypłacać je będzie pod warunkiem zaniechania przez Związek jego gwałtownej agitacji rewizjonistycznej — ale nie podobnego. Subsydia wypłacane są nadal, agitacja trwa również nadal i podtrzymuje w ten sposób kierunek dotychczasowej niemieckiej polityki wschodniej, między innymi w subwencjonowanej przez rząd prasie „Związku Wygnańców“.

W związku z tą agitacją należałoby poruszyć jeszcze jedną sprawę, a mianowicie obowiązującą dotychczas urzędowo nazwę dawniej należącej do Niemiec ziem polskich

za Odrą i Nysą. Brzmi ona: „Położone na wschód od linii Odry i Nysy obszary Niemiec określa się jako Niemieckie Obszary Wschodnie, obecnie pod polską administracją“. Sprawę tę poruszono wprawdzie w odnośnej niemieckiej komisji rządowej, ale odłożono ją na później. I tu znowu spytać się należy: Na kiedy?

Wyciągając wnioski z powyższych danych pragniemy stwierdzić: Jesteśmy za porozumieniem się z Niemcami, i to nie od dzisiaj. Ale właśnie dlatego, że powinno to być **rzeczywiste, a nie tylko taktyczne** porozumienie, musimy trzeźwo patrzeć na to zagadnienie. Bo, o ile z obecnego układu sił mogłaby wynikać szczerą niemieckiej oferty zgody, o tyle widoczne w Niemczech prądy myśli i żądań, szczerą się podają w wątpliwość. I to trzeba sobie jasno powiedzieć. Nie od Polaków dzisiaj, ale od Niemców zależy prawdziwe i trwałe porozumienie polsko-niemieckie.

**Post scriptum:** Dnia 18 września, już po napisaniu artykułu, odbyła się w „Bundestag-u“ debata nad zawartym dnia 12 sierpnia w Moskwie układem niemiecko-rosyjskim. Przywódca frakcji parlamentarnej CDU/CSU Rainer Barzel zajął w 6 punktach w stosunku do niego stanowisko. W punkcie 5-tym, mówiąc o Polsce stwierdził: „Ustalenie granic zostaje zastrzeżone dla swobodnie uzgodnionego traktatu pokojowego“.

Zważywszy, że CDU/CSU czyli Chrześcijańska Demokracja jest główną wyrazicielką opozycji i że Barzel w razie obalenia rządu Brandt'a, rozporządzającego znikomą tylko większością, byłby kandydatem na kanclerza, oświadczenie to jest do-

wodem, że prądy rewizjonistyczne są w Niemczech nadal bardzo silne. Nie wolno o tym zapominać!

Jerzy Drobnik

## WOLNE OD OPŁAT CELNYCH

- materiały dentystyczne produkcji angielskiej, niemieckiej, szwajcarskiej, USA itd.
- wszystkie lekarstwa
- okulary
- pończochy na żylaki
- wykonywanie recept krajowych sprawnie wysła, bez zwłoki

Największy na świecie  
Polski Dom Wysyłkowy

## TAZAB & CO.,

TAZAB HOUSE

ROLAND GARDENS,  
LONDON, S.W. 7.

Tazab of London Inc., 16, Stuyvesant  
Street, New York 3, N.Y. 10003

o r a z

Représentation de Tazab à Londres,  
20, Rue Legendre, Paris 17-e.

## Gryf Publications Ltd

STEFAN KORBOŃSKI

## MIĘDZY MŁOTEM A KOWADŁEM

15 opowiadań, których tłem jest druga wojna światowa. Niezwykłe czasy, niezwykli ludzie nadają tej książce niezwykle koloryst i czynią z niej niezapomnianą lekturę.

Cena 18s., 2.50 dol.

Skład Główny: KSIĘGARNIA S.P.K.,  
20, Queens Gate Terrace,  
LONDON, S.W. 7.

SAMOCHÓD DO POLSKI BEZ CŁA

# FIAT 125 — P

1300cc £666-13-4

• 1500cc £750

CENTRALA WYSYŁKOWA

# HASKOBA Ltd

81, CROMWELL RD., LONDON, S.W. 7. Tel. 01 - 373 7888/9

Kazimierz Schleyen

## LWOWSKIE GAWĘDY

Cena: 30 sh.

Do nabycia:

Księgarnia SPK

20, Queens Gate, Terrace,  
LONDON, S.W. 7.

# „Boże, nie daj mi płakać

**G**DY przed trzema laty w Grecji doszło do zamachu stanu i utworzenia rządu wojskowego dyktatorskiego typu, w tak zwanym wolnym świecie uderzono w huczne dzwony oburzenia i protestu. Bo zawieszono wolności demokratyczne, prasę poddano ścisłej cenzurze, uwięziono wielu działaczy opozycyjnych. Rząd amerykański, pod naciskiem opinii publicznej, nałożył embargo na dostawy ciężkiej broni dla Grecji. Praktycznie znalazła się ona w politycznej izolacji, chociaż nie przestała być członkiem Paktu Atlantycznego. Trzeba było dopiero gwałtownego zaostrożenia sytuacji na Bliskim Wschodzie, aby Waszyngton zdecydował się na zniesienie embargo. Tym razem względy ściśle wojskowe wysunęły się przed względy polityczne.

Napisałem „w tak zwanym wolnym świecie“. Takie ironiczne określenia można spotkać dość często w prasie komunistycznej. Czyżbym się z nią solidaryzował? Mam na myśli nie instytucje, nie ustroje, nie wolności obywatelskie, lecz postawę duchową i moralną narodów zachodnich, ich zaangażowanie się w coraz bardziej wielostronnym konflikcie, ogarniającym cały świat. Człowiek naprawdę wolny winien posiadać pełne rozeznanie, gdzie mianowicie ta wolność panuje, a gdzie podlega ograniczeniom albo likwidacji. Jeżeli tego rozeznania nie posiada, to jest członkiem tylko **korzystającym** z zewnętrznej wolności, a nie zespolonym z nią organicznie pod względem psychicznym i ideowym. Jest przedmiotem, a nie podmiotem. Na pewno nie jest człowiekiem uniwersalnym.

Niedojrzałość ideologiczna Zachodu wyszła na jaw z całą wyrazistością, a nawet jaskrawością podczas II wojny światowej. Miała to być wojna między narodami wolnymi a zagrażającymi im totalizmami. Wojna **par excellence** ideologiczna. Uznanie w roku 1941 Związku Sowieckiego za autentycznego sojusznika wywróciło wszystko do góry nogami. Z dnia na dzień zapominało, że Sowiety sprowokowały wybuch wojny przez zawarcie paktu Ribbentrop-Mołotow, napadły na Polskę, krwawiącą się w nierównej walce z

Hitlerem, z kolei napadły na Finlandię, wykorzystaly klęskę Francji dla aneksji krajów bałtyckich, Bukowiny i Besarabii, a przez cały ten czas, aż do czerwca 1941 roku, intensywnie wspomagały Trzecią Rzeszę dostawami wszelkiego rodzaju.

Minimalne rozeznanie ideologiczne powinno było podyktować co najmniej ostrożność w traktowaniu tego rzekomego sojusznika. Rzekomego, bo przypadkowego, bo narzuczonego wbrew jego woli, wyłącznie siłą okoliczności. Stało się inaczej, a w wyniku Zachód po wygraniu wojny przegrał pokój. Co gorsze, przegrywa go w dalszym ciągu, po dziś dzień.

Ktoś, bodaj w drugim czy trzecim roku minionej wojny, napisał z pełną racją, że „prawdziwy front przebiega przez ludzkie sumienia“. Cóż to znaczyło? Mętlik polityczno-ideologiczny sprawił, że po tych samych stronach frontów wojennych znajdowały się siły nie tylko ideowo nieskoordynowane, ale wręcz ze sobą sprzeczne. Finowie sprzymierzyli się z Hitlerem, by odzyskać to, co im zostało zrabowane przed tym, a nie z miłości do nazizmu. Rumuni, niezależnie od poglądów politycznych gen. Antonescu, poszli, by odzyskać utraconą Besarabię. Co wiedzieli o doktrynie hitlerowskiej Tatarzy Krymscy, gdy witali Niemców jak wybawców? Co o tym wiedzieli kaukaski Czeccy, gdy wycieli w pień oficerską szkołę NKWD, zainstalowaną w ich górach?

W każdym wypadku działała żywiołowa nienawiść, jakże usprawiedliwiona po latach władzy sowieckiej. To nie było, naturalnie, żadne solidaryzowanie się z Niemcami, lecz właśnie nienawiść, chęć odkucia się na bolszewikach. Że kierownictwo Trzeciej Rzeszy, z Hitlerem na czele, tego nie rozumiało, że zmarnowało olbrzymią szansę, to inna sprawa. Każdy myślał o czym innym. Wielu Hiszpanów, którzy jako ochotnicy w „Błękitnej Dywizji“, walczyli po stronie niemieckiej przeciw bolszewikom, wróciło z tej rzekomej „kru-

cjaty“ z pomieszаныmi uczuciami.

Wyruszyli w pole, sądząc, że naprawdę Niemcom chodzi o najbardziej szczytne ideały europejskie i chrześcijańskie. Przyjrzyli się ich postępowaniu na terenach okupowanych i odechciało się im takiej „krukcjaty“ raz na zawsze. Jak dla nich przebiegał front ideologiczny po takim rozczarowaniu?

Zaryzykuję twierdzenie, że ruchy prohitlerowskie w Europie Zachodniej, we Francji, w Belgii, zostały zlekceważone i potraktowane zbyt tendencyjnie. Czy naprawdę ta młodzież, która poszła do dywizji SS „Wiking“ czy „Valonia“, składała się ze samych zdrajców i zbrodniarzy? Tak ją potratowano po wojnie, ale to było oczywiście uproszczenie. Ci ludzie byli po części zdezorientowani, dali się uwieść hitlerowskiej frazeologii, poszli na lep prymitywnej ujętej propagandy antykomunistycznej i antysowieckiej, dla nich front także przebiegał inaczej niż dla innych. Szukali po omacku i rzucili się w ramiona Hitlera na oślep, bo ich nie zadowalała rzeczywistość ich krajów. Podobnie młodzież amerykańska, buntując się przeciw swojej rzeczywistości, rzuca się na oślep w ramiona Mao Tse-Tunga lub Fidela Castro.

To nie jest obrona kolaborantów proniemieckiego czasu ostatniej wojny; staram się zrozumieć ich decyzję na tle ogólnego pomieszania pojęć i bałaganu ideowego. Były one w znacznym stopniu wynikiem rozkładu moralnego i psychicznego zachodniej Europy. Taki Leon Degrelle to, niewątpliwie, ideowiec, ale zarazem intelektualny prostak. Wolno przecież zapytać: ilu ich było, tych intelektualistów, którzy w latach 1939-1945 rozumieli o co naprawdę chodzi? I czy rozumieją chwilę dzisiejszą? A właściwie dlaczego dzisiejszych kolaborantów prosowieckich mamy oceniać łagodniej, niż swego czasu oceniano kolaborantów prohitlerowskich?

Polska znalazła się podczas drugiej wojny światowej w sytuacji



# na gruzach Paryża!"

najbardziej skomplikowanej. Że należało kontynuować zbrojną walkę z Niemcami, co do tego nie było dwóch zdań, jeśli nie brać pod uwagę nielicznych malkontentów. Ale cóż z tym wschodnim „sojusznikiem“? W Polsce pod koniec wojny front ideologiczny przebiegał jeszcze bardziej ostrym zygzakiem niż gdzieś indziej. Że tak było świadczą najlepiej gwałtowne kontrowersje, istniejące po dziś dzień.

W latach 1933-1939 Zachód tęsknił tylko za jednym: dogadać się za wszelką cenę z Hitlerem, byle uniknąć wojny. Dogadywali się dość długo, ale wojny nie uniknęli. Obecnie również robią, co mogą, żeby dogadać się ze Związkiem Sowieckim. Wyniki nie dadzą na siebie czekać: albo kapitulacja, albo nowa wojna. Ale panowie politycy i dyplomaci nadal sądzą, że wszystko da się jeszcze jakoś zaklajstrować.

Stąd właśnie ta „ideologia jedностronności“. Greków należy postawić na cenzurowanym, bo odeszli od demokracji. Jakież opory przeciw odnowieniu baz amerykańskich w Hiszpanii, znowu w imię demokracji! Ci sami demokratyczni idealisci wpadają w delirium na popisach chóru Czerwonej Armii i zżymają się na zbyt ostre atakowanie Związku Sowieckiego. Ta Grecja, ta Hiszpania zawsze będą dla nich znacznie gorsze od Sowietów. Nie ma się co łudzić, jest to stanowisko najbardziej na Zachodzie rozpowszechnione.

Jak przed dwudziestu kilku laty, prawdziwy front ideologiczny przechodzi nie przez państwa, ustroje i organizacje międzynarodowe, lecz przez ludzkie sumienia. Czytamy dość często, że racji wojskowych, racji bezpieczeństwa nie należy wysuwać przed racje polityczno-ideologiczne. Że antykomunizm to nie żadna ideologia, lecz namiastka ideologii. Naturalnie! Żadne anty nie stanowi pozytywnego programu. Ważniejsze jest — w imię czego, a nie przeciw czemu.

Gdy jednak w imię demokracji

potępia się odchylenia od niej na prawo, a jednocześnie wchodzi się w zażyłość z lewicą najbardziej podejrzanego autoramentu, proponowany front ideologiczny staje pod znakiem zapytania, nabiera cech ordynarnego poszustwa. Gdy w imię demokracji szuka się sojuszu z komunistami, gdy z lekkim sumieniem odpisuje się na straty całe narody, gdy w imię urojonych korzyści taktycznych zaciera się granicę między chrystianizmem i jego wrogami, znowu trzeba oświadczyć: prawdziwego frontu ideologicznego należy szukać w ludzkich sumieniach. A cała reszta to zakłamana „ideologia jedностronności“.

Oglądamy coraz to rosnące góry śmieci na ulicach Londynu. W nocy, zwłaszcza przy słabym oświetleniu i z daleka, wyglądają jak ruiny w minaturze. Oby to podobieństwo nie stało się po iluś tam latach, upiorną rzeczywistością. Przypadkowo poznany turysta z „ojczyzny proletariatu“ spacerował po Paryżu i Londynie, przyglądał się, obserwował, strzyknął śliną przez zęby z najwyższą pogardą: — Ech, przydałoby się tym Francuzom i Angliczynom przynajmniej kilka lat sowieckiej okupacji. Zaraz by im odechciała się komunizmów, strajków i całej reszty! To samo można usłyszeć z ust przybyszów z Polski.

Młodzież włoska w Rzymie i Neapolu powybiła szyby w instytucjach amerykańskich, podczas wizyty prez. Nixona. Chodziło zapewne o Wietnam. Czy wybito szyby w ambasadzie sowieckiej po inwazji Czechosłowacji, a wcześniej, po Budapeszcie? Więc tak „wolny świat“ nie ma rozeznania własnej wolności, więc błąka się w gęstej mgie ideologicznej, nie mogąc zorientować się, gdzie jest sedno konfliktu. Człowiek współczesny jest niespokojny, czuje przez skórę, że mu grozi jakieś niebezpieczeństwo, nie umie go zlokalizować, miota się na wszystkie strony, zdezorientowany politycznie, społecznie, a przede wszystkim moralnie.

„Boże, nie daj mi płakać na gruzach Paryża!“ — modlił się nie tak dawno polski poeta emigracyjny. A może istotnie nadsekwąńska stolica zasługuje na dłuższą okupację sowiecką... I znowu to natrętne skojarzenie: z daleka, w mżącym świetle nocnych latarni, w przedporannej mgiełce, zwały śmieci na ulicach Londynu wyglądają jak rumowiska gmachów w miniaturze. Uważaj, wolny Zachodzie, abys ciężko nie zapłacił za zdradę, za tchórzostwo intelektualne i moralne, za zaparcie się samego siebie! Północ już mija i trzeci kur może zapiać każdej chwili.

Józef Łobodowski

**BIBLIOTEKA „KULTURY“**  
**„Zeszyty Historyczne“**  
**ZESZYT XVIII**  
 zawiera m. in. prace:  
**S. POPKIEWICZ:** Łączność radiowa z Krajem po powstaniu warszawskim.  
**S. ZOCHOWSKI:** O Sztabie Głównym i Wyższej Szkole Wojennej.  
**J. GARLIŃSKI:** Oświęcim walczący.  
**P. WANDYCZ:** Jeszcze o misji Jerzego Potockiego w 1933 roku.  
 Ponadto: „Na 25-lecie P.R.L.“; „W ZSSR o powstaniu warszawskim“, dział wspomnień, polemiki i recenzje. Str. 238  
 Cena: 30s. — 18.50 F. — 4 dol.

**DZIAŁANIA**  
**2 KORPUSU**  
**WE WŁOSZECH**  
 Tom I.  
 z przedmową  
 gen. Władysława Andersa,  
 pod redakcją  
 płk. dypl. dr S. Biegańskiego  
 Str. 664.  
 Wykazy, indeksy, szkice.  
 Oprawa płócienna.  
 Cena: 63/-.  
 Koszt przesyłki 4/6.  
 Należy zamawiać:  
**w Księgarni S.P.K.**  
 20, Queens Gate Terrace,  
 LONDON, S.W. 7.

# KONGRES WSPÓŁCZESNEJ NAUKI

(Skrót przemówienia wygłoszonego

**K**OMITET Organizacyjny Kongresu obarczył mnie nielätwym zadaniem podsumowania prac tego Kongresu, który w życiu kulturalnym emigracji zapisze się jak sądzę, jako wydarzenie dużej wagi. Jest to bowiem — i trzeba to chyba podkreślić — pierwszy na tę skalę zorganizowany Kongres Nauki i Kultury Polskiej na Obczyźnie. Była już poprzednio inicjatywa zorganizowania podobnego kongresu. Było to w roku 1956. Z powodów, nad którymi nie ma potrzeby się tu rozwodzić, kongres ten nie doszedł wówczas do skutku, natomiast odbyły się w roku 1957 niemal równocześnie dwie konferencje wolnej kultury polskiej: jedna w New Yorku, druga w Londynie. W 9 lat później, w millenijnym roku 1966 odbył się w New Yorku zjazd naukowców polskich z Ameryki Północnej. Ten 3-dniowy zjazd był imprezą ze wszech miar udaną, o czym świadczą same cyfry. 135 wygłoszonych referatów, 460 zarejestrowanych i ponad 100 niezarejestrowanych uczestników — to są cyfry, których nasz Kongres nie tylko nie przekroczył ale nawet nie osiągnął.

Dzisiejszy Kongres londyński różni się od zjazdu nowojorskiego wielu cechami charakterystycznymi. Nie ma on właściwie charakteru rocznicowego. Intencją tamtego zjazdu było uczczenie polskiego Millennium i muszę przyznać, że ze wszystkich zorganizowanych przez naszą emigrację uroczystości i obchodów millenijnych, był to chyba obchód w swej powadze i dalej sięgających skutkach najdonioślejszy — co najmniej z punktu widzenia wkładu w życie kulturalne emigracji. Nasz Kongres zbiegł się wprawdzie, jak podniesiono w prasie, z 25-rocznicą istnienia polskiej emigracji politycznej, jest to jednak zbieżność raczej przypadkowa. Pierwotnym zamiarem Komitetu Organizacyjnego Kongresu, który zresztą działał wówczas w innym częściowym składzie osobowym, było zorganizowanie tego kongresu jesienią 1968 roku. W toku prac przygotowawczych okazało się to niemożliwe i przesunięto jego datę na rok 1969, aby gło zharmonizować z terminem mającego się odbyć również

w tym roku II zjazdu naukowego polskiego w New Yorku. I ta data okazała się nierealna i to dla obu tych zjazdów z tym, że zjazd amerykański ma odbyć się na wiosnę 1971 roku, gdy nasz londyński odbył się już obecnie, a więc istotnie w 25 lat od powstania tego zjawiska, jakim jest polska emigracja po II wojnie światowej.

Drugą cechą charakterystyczną naszego Kongresu jest jego zasięg terytorialny, obejmujący teoretycznie wszystkie kraje wolnego świata, w których osiedlili się Polacy. W praktyce niektóre z tych krajów świecą na nim nieobecnością.

Wedle danych biura kongresowego ogólna liczba uczestników, którzy w takiej czy innej formie wzięli udział w Kongresie, wynosi 450 z następujących krajów: Argentyna 1, Belgia 5, Dania 3, Francja 10, Holandia 1, Izrael 1, Kanada 14, Kenia 1, Niemcy Zachodnie 11, Nigeria 2, Stany Zjednoczone 21, Szwajcaria 6, Szwecja 7, Turcja 1, Watykan 8, Wielka Brytania 349 i Włochy 9, a więc ogółem 101 uczestników spoza Wielkiej Brytanii. Prawie wszystkie te kraje znajdujemy również na liście autorów nadesłanych na kongres referatów. Ma zatem Kongres dzisiejszy zasięg terytorialny znacznie szerszy od zjazdu amerykańskiego z tym wszakże, że liczba jego uczestników zza Oceanu stanowi tylko — rzecz zrozumiała — niewielką część uczestników zjazdu amerykańskiego.

Trzecią cechą charakterystyczną naszego Kongresu jest to, że ma on aspekt nie tylko ściśle naukowy ale i ogólnokulturalny, a więc społeczny, co wyraziło się zarówno w istnieniu takich komisji, jak działalności kulturalnej Polaków poza Krajem, masowych środków przekazu, sztuk plastycznych i — po części pedagogiki, jak i w fakcie, że w myśl intencji organizatorów kongresu nie ma on ograniczyć się tylko do dyskusowania poszczególnych za-

gadnień, ale także dać wyraz pewnym nurtującym ogół uczestników kongresu poglądom i troskom przez uchwalenie pewnych tez, których projekt na zakończenie odczytam.

Czwarta — niezamierzona przez organizatorów naszego kongresu — jego cecha charakterystyczna to wybitna przewaga referatów, a także uczestników poświęconych względnie poświęcających się humanistyce, do której zaliczam i nauki społeczne, nad reprezentantami nauk przyrodniczych, ścisłych i technologicznych. Pod tym względem kongres nasz różni się wyraźnie od zjazdu amerykańskiego, na którym istniała niemal zupełna równowaga obu tych działów. Ten fakt braku należytego odzewu ze strony przedstawicieli tych działów nauki wydaje mi się najpoważniejszym zawodem, jaki spotkał organizatorów kongresu.

Jak należy oceniać tę część dorobku Kongresu, którą stanowią nadesłane nań referaty? Można je podzielić na 5 grup.

Do pierwszej należą samodzielne opracowania poszczególnych zagadnień naukowych oparte — jeśli chodzi o humanistykę — o źródła, a jeżeli chodzi o pozostałe działy nauki — o własne doświadczenia i obserwację autorów. Z uwagi na ograniczony rozmiar referatów kongresowych można je scharakteryzować jako przyczynki — nieraz bardzo wartościowe — do pewnych działów nauki.

Druga grupa referatów obejmuje próby syntezy stanu wiedzy o pewnych zagadnieniach oparte raczej na literaturze aniżeli na źródłach względnie doświadczeniach czy obserwacjach, będące wynikiem samodzielnej pracy myślowej autorów a kulminujące w postawieniu nowych tez względnie hipotez naukowych lub w polemice z tezami albo hipotezami postawionymi przez innych przedstawicieli świata nauki. Znakomity odczyt wygłoszony przez



# I KULTURY POLSKIEJ NA OBCYZNIE

w dniu zamknięcia Kongresu)

prof. Paszkiewicza na posiedzeniu inauguracyjnym Kongresu pt. „Zestudiów nad historią Słowian“ dający syntezę historii Polski i Rosji w perspektywie dziejowej można zaliczyć w pewnym sensie do obu tych grup.

Trzecia grupa referatów ma charakter sprawozdawczy poświęcony głównie zobrazowaniu wyników pracy poszczególnych instytucji emigracyjnych. Nie są to opracowania w ścisłym znaczeniu tego słowa naukowe, stanowią natomiast cenne podsumowanie i omówienie poszczególnych wyników udziału Polaków w wolnym świecie w rozwoju nauki i kultury, co w myśl założeń kongresu stanowić miało jeden z jego celów.

Czwarta grupa referatów omawia pewne aspekty położenia nauki i kultury w Kraju a także funkcjonowanie pewnych instytucji działających w Kraju lub pewnych dziedzin życia kraju nie podpadających pod pojęcie nauki i kultury. Niektóre z referatów można by zaliczyć również do pierwszej grupy — jako przyczynki do pewnych działów wiedzy o Kraju, a nawet do grupy drugiej jako próby syntezy naszej wiedzy o pewnych aspektach położenia Kraju.

Piąta wreszcie grupa referatów zajmuje się problemami ściśle emigracyjnymi, omawiając pewne aspekty życia emigracji, wskazując braki i niedociągnięcia w jej działalności i starając się wskazać środki zaradcze.

Jeśli chodzi o omówienie poziomu poszczególnych referatów, muszę się ograniczyć do scharakteryzowania tych z nich, które należą do nieco lepiej przeze mnie znanej problematyki, nie dotyczy to zatem działu nauk ścisłych i technologicznych, które z małymi wyjątkami stanowią dla mnie terram incognitam.

Jeśli — po tych zastrzeżeniach — mam przystąpić do scharakteryzowania poziomu poszczególnych re-

feratów, to muszę stwierdzić, że jest on dość nierówny. Obok opracowań o bardzo wysokim poziomie naukowym czy w ogóle twórczym są też opracowania o charakterze raczej publicystycznym czy nawet amatorskim. Spora liczba referatów o takim poziomie nie została przyjęta przez komitet organizacyjny i nie znalazła się ani w I tomie materiałów kongresowych ani wśród później nadesłanych prac powielanych. Widocznie jednak sieci, którymi posługiwali się kierownicy działów czy przewodniczący komisji naukowych przy przesiewaniu nadesłanych prac miały oka dość nierówne, dzięki czemu tylko część tego rodzaju prac na tych sieciach utknęła.

Jeśli chodzi o scharakteryzowanie dyskusji na komisjach kongresowych, to wszyscy przewodniczący i sekretarze komisji podkreślają, że dyskusja była ożywiona i że większość zgłoszonych referatów wzbudziła duże zainteresowanie. Poziom jej zależał w znacznej mierze od poziomu referatów, był przeto nierówny.

Podsumowanie przebiegu Kongresu nie byłoby kompletne, gdybym nie wspomniał o nabożeństwie, które go poprzedziło, a podczas którego

ksiądz biskup Rubin wygłosił podniosłe kazanie. Warto przy tej sposobności podnieść wybitny udział w pracach Kongresu duchowieństwa tak świeckiego jak zakonnego. Powielona przed rozpoczęciem Kongresu, a więc niepełna lista jego uczestników wykazuje 18 osób duchownych.

W ramach Kongresu zorganizowane zostały wystawy: 1) zbiorów historycznych Biblioteki Polskiej w Londynie, 2) wydawnictw i prasy emigracyjnej, 3) sztuk plastycznych, 4) filatelistycznej i 5) fotograficznej oraz stoisko teatru dla dzieci i młodzieży „Syrena“.

Zjechali się na Kongres pracownicy nauki i twórcy zamieszkali w różnych krajach. Uczestnictwo w nim stanowi dla wielu z nich jedyną okazję do wymiany myśli, doświadczeń i przeżyć z kolegami, których nieraz nie widzieli od czasu opuszczenia Polski a — jeśli chodzi o młodszych uczestników — którzy się w ogóle dotąd nigdy nie widzieli. Dopiero osobiste spotkania stwarzają nieraz więź między ludźmi, mogą oddziaływać zapładniająco na dalsze prace i zapoczątkować współpracę, która w pewnych dziedzinach badań naukowych jest koniecznym warunkiem — mam na myśli badania, których nie można dokonywać w pełnej izolacji od innych badaczy. Mam nadzieję, że nasz Kongres stanie się właśnie początkiem takiej więzi i współpracy między naukowcami i twórcami polskimi, których

**HENRYK GRUBER**

**WSPOMNIENIA I UWAGI**

**1892 — 1942**

*Trzy części:*

**I. BUG WPADA DO WISŁY** — Autor przedstawia życie w prowincjonalnym miasteczku Sokalu, pobyt w Lwowie i Wiedniu, udział w kampanii wojennej w Legionach Piłsudskiego oraz w wojnie przeciwko bolszewikom w 1920 roku.

**II. ANATOMIA POCZĄTKÓW** — to okres służby państwowej na różnych stanowiskach a przede wszystkim jako Prezesa P.K.O. i Prezesa Banku P.K.O. oraz udział w doniosłych konferencjach gospodarczych na najwyższym szczeblu państwowym.

**III. CZART PROWADZI BAL** — przejścia w Paryżu i zdarzenia w Londynie widziane przez autora z Argentyny.

576 stron!      *Ilustracje!*      *Cena: £3.0.0 plus koszt przesyłki!*

Wydawca: Gryf Publications Ltd.

SKŁAD GŁÓWNY: Księgarnia Kombatancka — 20, Queens Gate Terrace, LONDON, S.W.7. — Nadto do nabycia we wszystkich księgarniach polskich.

los rozrzucił bez mała po całym świecie. Skorzystań na niej powinny nasze towarzystwa i instytucje naukowe mogące funkcjonować należycie tylko w warunkach pewnej pracy zespołowej.

Drugim pozytywnym skutkiem kongresu powinien być oddźwięk tego wydarzenia w Kraju. Że wywołał on taki oddźwięk, wskazują choćby obawy władz reżymowych. Z osobistych rozmów z kilku przyjezdnymi z Kraju dowiedziałem się, że przy udzielaniu im paszportów na wyjazd zagranicę wypytywano ich, czy mają oni znajomości wśród organizatorów kongresu i ostrzegano ich, aby trzymali się od nich zdala, jeżeli chcą uniknąć poważnych nieprzyjemności. Z drugiej strony fakt, że kongresem naszym interesuje się aktywnie Radio Wolnej Europy, które znaczną część wypowiedzi kongresowych przekazało drogą radiową do Kraju, a także brytyjskie BBC i Radio Francuskie, daje nam gwarancję, że radiosłuchacze w Kraju się z nimi zapoznają, a ponieważ rekrutują się oni spośród wszystkich grup społecznych i ze wszystkich okolic Kraju, więc wieści o naszym kongresie rozejdą się w Kraju dość szeroko. Przekonają się słuchacze z Kraju z tych audycji, jak wielką rolę odgrywa położenie społeczeństwa w Kraju w naszych myślach i troskach i mam nadzieję, że da to tym, którzy opierają się przekształceniu psychiki i kultury polskiej na obcą modłę, poczucie, że nie są odosobnieni, a może i nadzieję na — być może odległą ale lepszą przyszłość.

Trzecim skutkiem kongresu powinien być oddźwięk, jaki jego przebieg wywoła w obcym świecie. I to tak w tej jego części, która znajduje się w orbicie Bloku Wschodniego, jak i w wolnej części tego świata. To ostatnie zadanie — zapoznanie z pracami kongresu opinii świata zachodniego jest zadaniem szczególnie ważnym ale i trudnym, gdyż w pewnej mierze tylko od nas zależnym. Nie wątpię, że organizatorzy kongresu zrobili i zrobią wszystko, co jest w ich mocy, aby je w optymalny sposób spełnić.

Czwartym wreszcie skutkiem kongresu powinien być oddźwięk, jaki

wywołał on w samym naszym społeczeństwie emigracyjnym. I może dobrane się stało, że odbywa się właśnie w 25-rocnicę powstania tej społeczności w wyniku II wojny światowej. My, Polacy, mamy duże upodobanie do święcenia różnych rocznic — i to tak wydarzeń dodatnich jak i ujemnych z punktu widzenia naszych losów. Może więc ten moment rocznicowy ułatwi wzbudzenie tego oddźwięku, który oby przyczynił się — by użyć wyrażenia Sienkiewicza — do pokrzepienia serc w naszym społeczeństwie emigracyjnym. Powinien on wszakże wywołać także skutek trwalszy — wzmożenie tempa działalności kulturalnej emigracji z myślą tak o naszym emigracyjnym wkładzie do kultury narodowej i światowej, jak i o przekazaniu naszego dziedzictwa kulturalnego młodszemu od nas pokoleniu, które oby przejęło od nas krzewienie swobodnej myśli polskiej co najmniej na tak długo, jak długo nie będzie ona mogła zakwitnąć z powrotem w Polsce. Naród nasz przeżył już jedną bardzo długą „narodową noc“ i uchronił podczas niej od spacenienia naszą osobowość narodową, do czego przyczyniła się w niemałej mierze nasza ówczesna emigracja. Oby ta druga jeszcze większa — co najmniej liczebnie — emigracja dopomogła mu do przeżycia możliwie bez szwanku dla naszej osobowości kulturalnej tej drugiej — nie wiemy jak długiej — narodowej nocy, w której jest pogrążony obecnie.

By ująć wyniki tego kongresu w możliwie zwięzłej formie, komitet organizacyjny polecił mi zakończyć tę moją resumpcję przebiegu kongresu odczytaniem tez, które przewijają się niejako implicite w szeregu referatów, a które na podstawie tych referatów i obrad komitetu organizacyjnego kongresu i w antycypacji dyskusji kongresowych zostały sprecyzowane przez specjal-

---

**Dobry uczynek —  
zachęć przyjaciela  
do prenumerowania  
„ORLA BIAŁEGO“**

---

ną powołaną w tym celu komisję w następujący sposób:

## T E Z Y

Kongres Współczesnej Nauki i Kultury Polskiej na Obczyźnie obradujący w Londynie w dniach od 9 do 12 września 1970 r. przy udziale pracowników naukowych, artystów i pisarzy polskich z różnych krajów Europy Zachodniej, Ameryki, Afryki i Azji oświadcza swą pełną solidarność z nadrzędnymi dążeniami Narodu Polskiego do wolnego i niepodległego bytu.

Kongres stwierdza, że:

1) wolność sumienia i myśli badań naukowych i słowa jest nieodzownym warunkiem istotnego rozwoju kultury narodowej;

2) działalność emigracji politycznej jest konieczna, dopóki trwają narzucone przez obce siły warunki bytu narodowego, które ją powołały do życia, to jest dopóki Polska nie odzyska pełnej niepodległości i wolności;

3) do zadań emigracji należy troska o utrzymanie i rozwój kultury polskiej na obczyźnie; w ciągu ubiegłych lat Polacy osiągnęli poważne rezultaty w tej dziedzinie, tworząc polskie ośrodki kulturalne w obcych środowiskach i wnosząc duży wkład do kultury i nauki krajów ich osiedlenia; dorobek ten, choć tworzony poza Polską, jest i pozostanie częścią dorobku kulturalnego całego narodu od tysiąca lat pozostającego w kręgu kultury zachodniej.

4) rozwój kultury i nauki polskiej na obczyźnie wymaga silniejszej więzi i bliższej współpracy uczonych, pisarzy, artystów, dziennikarzy i publicystów polskich rozsianskich w różnych krajach wolnego świata.

Kongres protestuje przeciwko:

1) poddaniu kultury w Polsce czynnikom urzędowym, wszechwładzy cenzury i podporządkowaniu badań naukowych obowiązującej doktrynie marksizmu-leninizmu, co stanowi hamulec w jej rozwoju;

2) niedopuszczaniu do Polski wydawnictw i publikacji polskich z obczyzny co przynosi szkodę kulturze polskiej.

Kongres składa hołd tym naukowcom, pisarzom i artystom w Polsce, którzy są prześladowani za obronę niezależności myśli ludzkiej.

Bronisław Hełczyński

Orzeł Biały, listopad 1970



# JAKI USTRÓJ PANUJE W POLSCE?

**P**YTANIE takie zadał mi mój angielski sąsiad po obejrzeniu w telewizji filmu dotyczącego Polski. Staralem się w krótkiej rozmowie uświadomić go i dać możliwie obiektywny i najbliższy rzeczywistości obraz systemu w Polsce. Dla ludzi wychowanych w prawdziwej wolności, słowa: demokracja, socjalizm, nacjonalizm, mają zupełnie inne znaczenie niż dla obywateli krajów satelickich, którzy urodzili się i wychowali w narzuconych przez Moskwę ustrojach.

Widziałem, że moje wyjaśnienia nie zadowalały rozmówcy, a z wyrazu twarzy można było, że nie jest on całkowicie przekonany o słuszności moich wywodów. Muszę przyznać, iż po tej rozmowie nie byłem na sto procent pewny czy trafiłem w sedno rzeczy. Bo łatwiej jest zbyć kogoś ogólnikiem i powtórzyć utarte komunały, niż dać dobrą definicję i bezstronny obraz rzeczywistości krajowej.

## TRZY PUNKTY WIDZENIA

Na pytanie postawione w tytule padną co najmniej trzy stereotypowe odpowiedzi, w zależności z jakiej strony one wyjdą.

Polak, osiadły od lat na emigracji, odpowie bez wahania: w Kraju panuje komunizm. Rodak, przybyły na krótką wizytę z Warszawy, odrzeknie z uśmiechem na ustach i z przekąsem: socjalizm. Obywatel W. Brytanii, tu urodzony i wychowany, a interesujący się choćby odrobinę sprawami politycznymi, określi ustrój obecnej Polski jako ludową demokrację (peoples democracy).

Która z tych trzech definicji jest najbardziej obiektywna i najbliższa prawdy? Wydaje mi się, że żadne z powyższych określeń nie oddaje rzeczywistości, tym bardziej, iż w systemie Polski pojałtańskiej istnieje wyraźny podział stanu faktycznego na teorię i praktykę. Konstytucja kraju mówi jedno, jej wykonanie — drugie. Kto zna stosunki polskie tylko na podstawie ustawy

zasadniczej i prasy krajowej inaczej określi system, niż ten kto tam mieszka od lat 20 czy więcej. O istocie ustroju decyduje nie teoria, nie konstytucja, pełna patriotycznych frazesów i wyrażona pięknymi słowami w numerowanych paragrafach, lecz jej przestrzeganie, zastosowanie przepisów prawa do życia codziennego.

Rozpatrzmy teraz po kolei trzy określenia ustroju polskiego przytoczone powyżej. Wywody moje będą ze zrozumiałych względów ograniczone do minimum.

Komunizm jako taki musimy z miejsca odrzucić. Dla teoretyków marksizmu i proroków z Kremla obecna faza rozwoju nie jest jeszcze czystym komunizmem a stanowi ostatni etap na drodze do komunizmu. Komunizm, który przyjdzie, będzie się charakteryzował tym, iż zniknie w nim zupełnie organizacja państwowa i aparat administracyjny. Wszyscy obywatele będą zrównani pod każdym względem i każdy otrzyma od społeczności tyle, ile będzie potrzebował. Pieniądz zostanie wyrugowany z obiegu. Nastanie era szczyśliwości, zniknie pogoń za dobrami materialnymi, gdyż będzie ich w bród. Ponieważ faza ta nie nastąpiła jeszcze w Rosji Sowieckiej, nie możemy więc powiedzieć, że panuje w Polsce, której władcy idą śladami Moskwy i wiernie przyjmują jej wzory.

## SOCJALIZM

Pomimo iż rządzący Polski odmieniają słowo socjalizm we wszystkich przypadkach i powtarzają go w swoich wypowiedziach, pismach i środkach propagandy, ustrój panujący w Kraju nie jest socjalizmem, nawet w wydaniu kremłowskim.

Socjalizm przewiduje, między innymi, że ziemia, bogactwa naturalne, środki produkcji, rozdział dóbr, usług i służb są własnością społeczną, albo upaństwowioną. Tymczasem w Polsce gros ziemi uprawnej

znajduje się ciągle w rękach indywidualnych gospodarzy. Oprócz zakładów państwowych istnieje i przybywa coraz więcej przedsiębiorstw prywatnych. Kwitnie przemysł chałupniczy, rozwijają się warsztaty usługowe, firmy gastronomiczne i transportowe. Oczywiście, zakłady użyteczności publicznej: gaz, elektryka, koleje, kopalnie i fabryki są własnością państwa, ale podobnie rzecz ma się i w krajach zachodnich kapitalistycznych, jak np. w Anglii, w państwie o klasycznej demokracji. Upaństwowienie wielkich zakładów, kopalń, hut i transportu nie świadczy wcale, iż w danym kraju panuje ustrój socjalistyczny.

## DEMOKRACJA LUDOWA

Określenie to jest niejasne już w swoim założeniu. Demokracja to nic innego jak właśnie rządy ludu lub jego większości. W Polsce nie rządzi ani lud ani większość narodu. U steru władzy stoi grupa ludzi, która nie posiada mandatu od obywateli, nie ma ich zaufania. Sprawuje władzę we własnym imieniu, przy poparciu siły i terroru, możliwego na skutek „opieki“ Związku Sowieckiego.

Demokracja w swoim założeniu opiera się na władzy powołanej przez większość obywateli, z równoczesnym zachowaniem gwarancji swobodnej działalności i wypowiedzaniu opinii dla mniejszości. W Polsce jest zupełnie odwrotnie. Rządy sprawuje znikoma mniejszość, olbrzymia większość jest pozbawiona głosu i możliwości wpływania na losy narodu. Władza nie jest emanacją narodu, lecz obcym organizmem w ciele polskiej państwowości. Rządzący nie są przywódcami narodu, lecz pływają na jego powierzchni.

Każdy przyjezdny rodak z kraju nie mówi o swoich rządach; nasze władze, nasz minister, nasz sejm, tylko używa wyrażen: my i oni. My pragniemy tego — oni robią tamto, my chcemy dźwigać Polskę ku gó-

rze, oni na to nie pozwalają. Jest to wyraźne rozdzielenie władzy od jej źródła, to jest narodu. Jest to zaprzeczenie pojęcia demokracji.

### FEUDALIZM

Są i tacy, którzy obecne stosunki w Polsce określają mianem feudalizmu. Zasada jego polega na tym, że niezależnie czy jest się udziałnym panem w Warszawie, Pradze czy w Pankow, nie ma się władzy inaczej jak tylko na podstawie koncesji i usług, które należy wykonać w stosunku do tego, kto tej koncesji mu udzielił. Pierwszy Sekretarz Partii Komunistycznej Rosji jest suzerenem. Nadaje on lenno pierwszym sekretarzom partii komunistycznych w poszczególnych krajach, by mogli gospodarzyć i spełniać nałożone na nich obowiązki. W zamian są oni zobowiązani do pewnych świadczeń w naturze (surowce, wyroby przemysłowe, maszyny itp.), jak również do obrony systemu i służby suzerenowi (Pakt Warszawski, wysyłanie wojsk tam, gdzie zażąda Kreml). W ten sposób jest się jednocześnie suzerenem i uzależnionym. Suzerenem nad swoim lennem-krajem satelickim, gdzie los obywateli jest od niego zależny — uzależnionym do swego suzerena bezpośredniego — Moskwy, w stosunku do której ma się powinności feudalne.

Stosunków panujących w Polsce nie da się, moim zdaniem, podciągnąć w pełni pod miano feudalizmu. W systemie tym wasale starali się wszelkimi sposobami ograniczyć władzę suzerena, lennicy warszawscy tego nawet nie próbują. Poza tym jest to pojęcie średniowieczne, pachnące przeszłością i zacofaniem. Nie nadaje się ono do określenia ustroju w obecnej dobie wielkiego postępu technicznego i powszechnego parcia ludów ku wolności.

### SOCJALIZM SCHIZOFRENICZNY

Pozostaje jeszcze dyktatura proletariatu, określenie często spotykane w żargonie satelickim. Nie oddaje ono jednak treści. Rządy w Polsce gardzą i pomiatają ludem prostym i proletariatem. Wytworzyła się w Kraju jakaś dziwna psychoza pogardy dla wszelkiej pracy, a szczególnie dla pracy fizycznej. Zwykle

robotnik, czy biedny chłop czy śmieciarz po prostu się nie liczą. Stoją poza nawiasem społeczeństwa. Władze go lekceważą, urzędy ignorują, a współobywatele mają go za nic.

Wśród gości jacy przyjeżdżają do nas z Polski nie natknąłem się nigdy na szewca, kamieniarza, zamiatacza ulic czy choćby robotnika. Każdy, czy każda, jest bądź kierownikiem, bądź inspektorem, bądź też kontrolerem, dyrektorem, a w najgorszym razie pracownikiem biurowym. Praca fizyczna przynosi ujmę, ludzie się wstydzą do niej przystąpić. Doprawdy niebываły objaw „polskiego socjalizmu“.

Dyktatura w Polsce tym się jeszcze różni od dyktatur typu gen. Franco czy Nassera, że nie pochodzi od siebie, nie jest dyktaturą samoistną, to jest niezależną od zagranicy. Dyktatura polska istnieje dzięki jej ustanowieniu i poparciom przez mocodawców na Kremlu. Bez nich nie utrzymałaby się ani roku, ani nawet miesiąca. Jest to dyktatura protekcyjna, przymusowa, gdyż istnieje na podstawie przymusu z zewnątrz.

Ustrój Polski nazwałbym „socjalizmem schizofrenicznym“. W teorii ma on zaplecze socjalistyczne i w imię socjalizmu garstka komunistów rządzi krajem. Praktyka jest jednak daleka od teorii, a cały system charakteryzuje się rozdwójnieniem jaźni. Góra partyjna uważa się za jedynie zdolną i uprawnioną do przemawiania w imieniu narodu. Obywatele mają zakneblowane usta, o żadnej legalnej opozycji nie ma mowy. Wolność słowa, myśli i stowarzyszenia się nie istnieje, choć jest zagwarantowana przez konstytucję. Reżym usiłuje nachylić kręgosłup narodu ku wschodowi. Społeczeństwo trzyma się wszystkimi siłami prądów i cywilizacji zachodniej. Partia propaguje i narzuca materializm, 90% ludności popiera Kościół katolicki. Władzę sprawuje Gomułka, rządy dusz — Kardynał Wyszyński. System działa i istnieje, bo ma silne zaplecze siłowe. I choć władze Polski mają pewien zakres swobody, to jednak mają wyznaczone granice, których im przekroczyć nie wolno, o czym przed dwu laty przekonali się Czesi i Słowacy.

## REFLEKSJE

JAKIE niebezpieczeństwa dla demokracji kryją się w dobie obecnej, kiedy centralizacja krajów i państw robi stałe postępy. Te naciśki państwa stanowią największe niebezpieczeństwo dla społeczeństwa otwartego. Jak już powiedzieliśmy, toczy się w samej demokracji cicha walka o to, czy przeważą zasada wolności i nieukrócania inicjatywy prywatnej, czy też pójdziemy wszyscy po szlaku motywów czysto ekonomicznych. Język angielski, który tak doskonale nadaje się do tworzenia zwięzłych maksym, ukuł niedawno nowe powiedzenie, że obywatel współczesny jest na łasce państwa od chwili wyjścia z łona matki aż do trumny — „from the womb to the tomb“. Czy ludność wybierze bezpieczeństwo i usługi socjalne i odrzuci na bok więzy czystej ekonomii? Na ten temat toczą się dzisiaj szerokie dyskusje, a z nich wyłania się jedna jasna myśl: jest rzeczą wątpliwą, czy w dziejach ludzkości mamy do czynienia z automatyzmem postępu. Wydaje się, że wprost przeciwnie. A zatem — że w dziejach ludzkości oglądamy wzloty i upadki i nic nie dzieje się mechanicznie i automatycznie. Nie ma placówek zdobytych raz na zawsze i każde pokolenie staje przed koniecznością dokonania wyboru — bezpieczeństwa politycznego i ekonomicznego — kosztem swobody myśli i działania. Prez. Roosevelt wypowiedział kiedyś w jednym z wywiadów, udzielonych politykowi angielskiemu, że „ciągle jeszcze nie doceniamy hartu i siły oporu, jakie stawia wolność ludzka“.

Demokracja zatem wymaga ustawicznej czujności, aby ingerencja państwa nie zaszła zbyt daleko i aby obietnice podniesienia stopy życiowej nie zaćmiły najistotniejszej potrzeby człowieka, czyli właśnie wolności.

Istnieje jakieś tajemnicze iunctim między obszarem państw, a zasadami wolności. Im bardziej rośnie siła państwa, tym bardziej zagrożona jest demokracja. Mocarstwa Europy i całego świata coraz bardziej dają



## NA TEMAT DEMOKRACJI (II)

się wciągać w zasady centralizacji, która jest niebezpiecznym pierwszym stopniem do dyktatury. Najbardziej autentycznymi warsztatami demokracji są kraje małe, gdzie człowiek nie czuje się zagubiony w masie. Szwajcaria jest tutaj wzorowym przykładem i nie było chyba rzeczą przypadku, że prezydent de Gaulle zapożyczył od Szwajcarii system referendum ludowego. W Szwajcarii poszczególne gminy i kantony mają własne wiece i zebrania, które potwierdzają, lub odrzucają przedstawione przez rząd federalny dezeraty. Kiedy przed 10 laty kilka kantonów wystąpiło z pretensjami do władz federalnych, że te ostatnie zamierzają podwyższyć ceny cukru, poddano całą sprawę pod referendum ludowe, które orzekło, że takie posunięcie gospodarcze nie jest celowe i że trzeba utrzymać dotychczasowe ceny. Przed kilku laty o wiele ważniejszy temat znalazł się na porządku dziennym dyskusji publicznej: czy armia szwajcarska strzegąca bezpieczeństwa kraju, a należąca dzisiaj do jednej z największych w Europie sił zbrojnych, mimo małości kraju i ludności zaledwie 5 milionów — powinna być wyposażona w broń nuklearne? W referendum ludowym orzeczenie, że siły zbrojne Szwajcarii, dochodzące w dobie pokoju do 400.000, a na wypadek powszechnej mobilizacji do 800.000, nie powinny być wyposażone w broń nuklearne i że społeczeństwo szwajcarskie ufa swojej armii. Był to napewno przejaw najistotniej pojętej demokracji.

Innym małym warszatem demokracji są kraje skandynawskie, które poszły bardzo daleko na drodze walki z biedą i nędzą i są dzisiaj pokazowymi krajami demokratycznymi. Niejednokrotnie Szwecja i Norwegia miały rządy socjalistyczne, ale potrafią tam połączyć socjalizm patrzący na palce kapitalizmowi, a jednocześnie nie hamując inicjatywy prywatnej. Jest wiele prawdy w powiedzeniu, że społeczeństwa zachodnie dokonują stałych postępów na drodze zabezpieczenia doli swo-

ich obywateli, i że ten postęp społeczny zapisać należy na pewno na konto oświeconej demokracji. Na Zachodzie partie socjalistyczne doczepiły do swoich wywieszek bardzo znamienne hasło, a mianowicie, demokratycznego socjalizmu. Ruch ten stawia sobie za cel podniesienie stopy życiowej mas pracujących uważając, że pierwszym obowiązkiem organizacji państwowej jest sprawiedliwość społeczna. Dopiero wówczas gdy zaspokoi się elementarne potrzeby mas pracujących, można mówić o prawdziwej demokracji, dbającej o swoich obywateli. Człowiek na Zachodzie przyjmuje dzisiaj stałą walkę z biedą jako aksjomat i nikt nie może dzisiaj w Europie Zachodniej powiedzieć, że nie docenia się pracy fizycznej. Narody są wrażliwsze na biedę i niesprawiedliwość społeczną.

\* \* \*

Znana powszechnie anegdota mówi, że do Cambridge przyjechał któregoś dnia ważny gość z zagranicy i zachwycał się wspaniałymi trawnikami tego uniwersyteckiego miasta. Zagabnął więc któregoś dnia uniwersyteckiego ogrodnika jak on to robi, że trawa jest tak szmaragdowa. To bardzo proste, odpowiedział ogrodnik. Po prostu strzyże się ją i walcuje ziemię regularnie przez 300 lat.

Historyjka ta może być z powodzeniem zastosowana do pojęcia demokracji. Po prostu społeczeństwo uczy się latami trudnej sztuki rządzenia się samemu. Nie ma żadnych skrótów na drodze do pełnej demokracji i dlatego tyle państw powstałych po drugiej wojnie światowej nie może być prawdziwie demokratycznymi. Muszą się one dopiero uczyć mozolnie tej trudnej sztuki. Nie można winić nowych państw afrykańskich o to, że przechodzą tak trudno okres zaborstwa państwowego. Nie można się dziwić, że zaczynają one przeważnie od dyktatury i że nie wystarczy, aby parlament nazywał się Izbą Gmin,

skoro posłowie nie pojęli jeszcze kompromisu, jako zdrowego przejawu demokratycznej myśli politycznej. Trzeba mieć bardzo wiele cierpliwości, kiedy dchodzimy do analizowania przemian, dokonywających się na kontynentach Azji i Afryki. I tak należy się dziwić, że największe człony państwowe jak np. Indie, przeszły przez swoją ewolucję demokratyczną stosunkowo łatwo, chociaż i tam początek systemu demokratycznego nie obył się bez rozlewu krwi. Oczywiście, można by tutaj dodać, że Indie miały łatwiejsze zadanie niż inne nowo powstałe państwa: uczyły się bowiem sztuki demokratycznej od W. Brytanii, która ppozostawiła Indiom w spadku między innymi niezależność sądownictwa. Lubimy narzekać na „dzikusów“, którzy nadużywają wywieszki demokracji dla dyktatorskich poczynań, ale zapominamy, że po pierwszej wojnie nowo powstałe, względnie wskrzeszone państwa grzeszyły często brakiem rzetelnej demokracji. Państwom tym zabrakło, niestety, czasu, potrzebnego do uprawy każdej struktury państwowej. Gdyby nie wojna, to kraje Europy Wschodniej rozwinęłyby swe własne wzory demokratyczne. Zamiast tego hekatomba II wojny cofnęła je na drodze rozwoju.

Wspomnieliśmy już o tym, że demokracja udaje się najlepiej w małych laboratoriach sztuki współżycia, jak na przykład w Szwajcarii czy w krajach skandynawskich. Szwajcaria jest przypuszczalnie najpiękniejszym pokazem współżycia różnych odłamów językowych. Jest to kraj, gdzie nie czuje się ręki państwa, a jedynie swobodną dłoń społeczeństwa, które — jeśli się tak wyrazić można — postanowiło bawić się w państwo. Nikt naprawdę nie wie czy istnieje jakiś oficjalny hymn narodowy szwajcarski, a tylko czasami słyszy się na zakończenie jakiejś ceremonii melodię zapożyczoną z angielskiego „God Save the Queen“.

Wspomnieliśmy również, że w dzisiejszych czasach jest niezmiernie trudno zachować demokratyczny styl życia. Dwie wojny światowe dokonały olbrzymich szczerb nawet w demokratycznych społeczeństwach. Bardzo wiele spraw doma-

gało się załatwienia przez państwo, a to z tego powodu, że same społeczeństwa nie potrafiły znaleźć rozwiązania w zmienionej powojennej rzeczywistości. Weźmy tu znowu jako przykład Szwajcarię, albowiem w kraju tym istniała zawsze i istnieje nadal pomoc gmin dla rodzin pochodzących z danego kantonu, na które spada obowiązek utrzymywania swoich biednych, podczas gdy w Anglii dopiero w roku 1947 wprowadzono bezpłatną i powszechną służbę zdrowia. Do roku 1947 istniała w Anglii demokracja polityczna, nie istniała natomiast demokracja ekonomiczna. Innymi słowy — na pole ochrony praw obywatela wkroczyło państwo, które w pewnym sensie narzucało więzy społeczeństwu. Nie zapominajmy, że za swoich rządów kanclerz Bismarck wprowadził w Prusach bardzo wcześnie ubezpieczenia społeczne i że przed drugą wojną ta służba funkcjonowała bez zarzutu. Ale nie czyniło to jeszcze z Niemiec narodu demokratycznego. Przypomnieć również należy, że w Anglii przed drugą wojną blisko 90 procent majątku narodowego pozostawało w rękach 10-ciu procent obywateli. Ale ta wielka niesprawiedliwość społeczna nie czyniła jeszcze z Anglii kraju dyktatury. To samo stosuje się do przedwojennej Francji, która miała nadmiar swobód demokratycznych z pominięciem gospodarczej strony życia obywatela. Wynika z tego, że pojęcie demokracji jest bardzo elastyczne i że w każdym indywidualnym przypadku wymaga innego zdefiniowania. Znany w Anglii popularyzator filozofii — profesor Joad zaczynał każdą niemal dyskusję radiową słowami: „Przede wszystkim umówmy się o co nam chodzi i jak interpretujemy takie czy inne pojęcie?“. Uwaga ta nasuwa się natrętnie, gdy rozważamy blaski i cienie demokracji wśród różnych narodów. Ideałem byłoby połączenie demokracji politycznej z bezpieczeństwem obywateli na odcinku gospodarczym i opieki społecznej. Niestety, taka pełna demokracja pojawia się względnie rzadko w życiu narodów nawet wysoko zaawansowanych. Państwo bowiem odebrać musi niejednego przywilej obywatelowi, aby go obdarzyć innym.

W powojennej epoce, w której żyjemy odbywa się cicha walka między społeczeństwem a maszyną państwową. Od wyniku tej walki zależy będzie może całkowicie nowe oblicze demokracji, które wyłoni się po wielu próbach i rozczarowaniach.

\* \* \*

Na baczniejszą uwagę zasługuje rola prasy w społeczeństwach demokratycznych, dlatego, że prasa stanowi interesujący przykład stosunku jednostki do państwa. Warto przypomnieć sobie zaczątki prasy europejskiej w wieku XVIII. Pisma, które wychodziły wówczas miały minimalny nakład, ale poważne wpływy. Stanowiły one wyraz oświeconej opinii publicznej, która nie wahała się ostro krytykować poczynania państwa i władz. Różne „Spectatory“ i „Observery“ angielskie, czy też „Merkurjusze“ polskie nie mogły oczywiście konkurować z prasą nam współczesną, która używa dalekopisu, telegramu i radia do swej obsługi informacyjnej. Wiadomości podawane przez tę prasę XVIII-wieczną były już przestarzałe w momencie ich ukazania się. Innymi słowy, rola prasy tygodniowej lub miesięcznej ograniczała się do komentarza i taki komentarz przetrwał do dzisiaj w prasie demokratycznych społeczeństw. Pojawiła się jednak, podstępna choroba, która grozi dzisiaj nawet gazetom o wysokim nakładzie. Otóż prasa traci coraz bardziej grunt pod nogami w tarciach z tak zwanymi środkami masowego przekazu. Kto wie, czy niebawem prasa świata zachodniego nie położy większego akcentu na komentarz, redukując wiadomości codzienne. W ten sposób prasa powróciłaby do swej dawnej roli, kiedy krytykowała w swych komentarzach takie czy inne poczynania władców.

Jest rzeczą ciekawą, że prasa rozwija się dalej w społeczeństwach demokratycznych, z tym jednak, że są to przeważnie względy ekonomiczne, które wymagają nowych środków reklamy, a nie istotnej informacji codziennej, jaką współczesny obywatel otrzymuje wizualnie lub słuchowo. Zaczyna wyglądać na to, że prasa powraca powoli do swej

pierwotnej roli: przegierza i mentora.

Co roku rozmaite instytuty prasowe badają poczytność wielkich dzienników świata — i kto ze zdumieniem dowiadujemy się, że londyński „Times“ miał przed przejściem go przez nowych właścicieli zaledwie ćwierć miliona nakładu. Londyński „Times“ zaczął dodawać nowe stronicie do swej dawnej formy i to akcentując głównie tematy literackie i kulturalne. Pomimo tego nakładu „Times“ jest nadal groźnym przeciwnikiem każdego rządu i jednym z hamulców, jakie nakłada opinia publiczna swoim przywódcom politycznym. Bez pism typu londyńskiego czy nowojorskiego „Timesa“ nie byłoby możliwe mówić o opinii publicznej w krajach demokratycznych. Prasa jest najlepszym może strażnikiem procesów demokratycznych.

O pierwsze miejsce, jeżeli chodzi o wpływy na skalę światową, walczy stale nowojorski Times z Timesem londyńskim i paryskim „Le Monde“, chociaż nierzadko na pierwsze miejsce wysforowuje się znakomite pismo szwajcarskie „Neue Zürcher Zeitung“. Nie jest na pewno dziełem przypadku, że mała Szwajcaria ma aż 400 pism codziennych oraz publikacji ukazujących się dwa razy w tygodniu. Na pierwszym miejscu cytuje się często Federalne Niemcy, które mogą się wykazać aż sześciuset wydawnictwami codziennymi lub ukazującymi się kilka razy w tygodniu. W Anglii sytuacja prasy nie przedstawia się zbyt wesoło i mamy stale do czynienia ze spadkiem ilości pism natury prowincjonalnej. Są to niebezpieczne podkopy pod niezależną opinią publiczną i dlatego każdy uczciwy obserwator musi być zaniepokojony takim rozwojem wypadków w kraju, który można by nazwać „matką demokracji“.

Demokracja jest ściśle związana z losami poważnej prasy, która stara się oświetlić wypadki z pewnej perspektywy. Znany angielski dziennikarz Scott, który redagował Manchester Guardian, powiedział kiedyś, że „fakty są święte, ale komentarz musi mieć przywilej wszelkiej swobody“. Czy jednak ta swo-



# Polska na szarym końcu krajów za żelazną kurtyną

W PAŹDZIERNIKU 1956 roku Gomułka z patosem mówił: „Robotnicy Poznania nie protestowali przeciwko Polsce Ludowej, przeciwko socjalizmowi, kiedy wyszli na ulice miasta. Protestowali oni przeciwko złu, jakie szeroko rozkrzewiło się w naszym ustroju społecznym... Rządzenie krajem wymaga, aby klasa robotnicza i masy pracujące darzyły kredytem zaufania swych przedstawicieli, dzierżących ster władzy państwowej. Jest to moralna podstawa sprawowania władzy w imieniu mas pracujących. Kredyt zaufania może być bez przerwy przedłużany jedynie pod warunkiem wywiązywania się ze zobowiązań zaciągniętych wobec kredytodawców. Utrata kredytu zaufania klasy robotniczej oznacza utratę moralnej podstawy sprawowania władzy“.

Naród po okrutnej okupacji hitlerowskiej i po 11 latach rządów kompletnego zdżyczenia aparatu własnego, składającego się z takich ludzi jak „generałowie“ Moczar i Pietrzak oraz importowanych z Rosji NKWD,

obdarzony premierem „socjalistą“, który robotnikom Poznania groził obcinaniem rąk, przyjął to przemówienie z niespotykanym entuzjazmem, gdyż taktyczne posunięcie Gomułka uznał za strategię. Gomułka w tym przemówieniu dopuścił się świadomie i celowo oszustwa, którym posługują się do dnia dzisiejszego. Już w roku 1957 po zamknięciu studenckiego pisma „Po Prostu“ było rzeczą oczywistą, że nie zamierza szukać „moralnej podstawy sprawowania władzy“ i w 12 lat po objęciu władzy oświadczył bez ogródek: „Słuszność linii generalnej partii nie da się zweryfikować w krótkim czasie. Potrzeba wielu lat, zazwyczaj dziesięcioleci, aby naród mógł się przekonać, że określona koncepcja socjalizmu, której zawierzył i za którą poszedł, odpowiada jego żywotnym interesom“.

Po usadowieniu się dobrze w siodle dzięki poparciu najpierw Chruszczewa, a następnie Breżniewa za wierno-poddańczą służbę na rzecz interesów imperium rosyjskiego, po

rozbudowaniu aparatu represji do niebywałych rozmiarów i po zakneblowaniu ust nie tylko intelektualistom, ale również całemu narodowi, Gomułka mógł dokonać i dokonał zwrotu o 180 stopni. Ten zwrot stworzył zupełnie odmienne warunki od tych, jakich naród na próżno oczekiwał po wypadkach poznańskich z czerwca 1956 roku i po październiku tegoż samego roku. Naród został oszukany w bezwstydnym i cynicznym sposób. „Polska droga do socjalizmu“ już przestała obowiązywać, a na jej miejsce wprowadzono doktrynę i praktykę „starszego brata“ z oplakanymi dla Polski skutkami. Skutki te, w miarę upływu lat, stawały się i ciągle się stają po prostu tragiczne, albowiem grożą one biologicznym wyniszczeniem narodu. Żeby sobie zdać sprawę z groźby katastrofy na przyszłość, wystarczy przytoczyć kilka cyfr. I tak, o ile w roku 1955 przyrost naturalny ludności kraju wynosił 19,5 na tysiąc mieszkańców, to w roku 1969 tylko 8,2, co oznacza spadek urodzin więcej, niż o połowę. Na przyszłość jest to zjawisko bardzo groźne nie tylko z punktu widzenia gospodarczego, ale również i społecznego. Bo gdy roczniki z tzw. wyżu demograficznego dojdą do wieku emerytalnego, to, jako emeryci, staną się tak wielkim ciężarem dla roczników niżu demograficznego, że podniesienie stopy życiowej tych 2-ch grup staje się rzeczą co najmniej wątpliwą. Nawiasowo należało by nadmienić, że w Rosji Sowieckiej przyrost naturalny wynosi 12 osób na tysiąc mieszkańców, co wzbudza niepokój wśród władców Kremla. Zróbmy inne porównanie. W Niemieckiej Republice Federalnej na 1 km<sup>2</sup> przypada 224 mieszkańców, zaś w Polsce zaledwie 100 mieszkańców. Mimo to w NRF mówi się o niedoludnieniu, co powoduje sprowadzanie robotników zagranicznych, którzy w dużej mierze przyczyniają się do wzrostu bogactwa narodowego tego kraju, podczas

## REFLEKSJE

boda nie jest zagrożona na skutek ingerencji współczesnego państwa, które rozumie prosty fakt, że im większe ma wpływy na prasę, tym łatwiej może sprawować rządy. I tu może leży największe niebezpieczeństwo dla demokracji.

Inaczej należy traktować prasę spoza Żelaznej Kurtyny. Nie zasługuje ona bowiem na miano prasy, a zatem organu myślenia politycznego, sprzeciwu i rzetelnej informacji. Ktoś złośliwy mógłby powiedzieć, że nie dziwi go fakt, iż literatura w Rosji upada. Państwo sowieckie bowiem stało się pierwszym powieściopisarzem lub raczej bajkopisarzem dla swoich mas. Artur Koestler w swoich wrażeniach z Rosji w późnych latach dwudziestych nie mógł po prostu pojąć jak skuteczna jest rola państwa jako dławiciela opinii publicznej. Podczas

gdy na ulicach Kijowa ludzie marli z głodu, wszystkie dzienniki tego miasta pisały o Ukrainie mlekiem i miodem płynącej.

Spółcześnie demokracje stoją nadal na straży nie tylko wolności słowa, ale czuwają nad niebezpieczeństwem fuzji pism, który to fakt zacieśnia zaięć wolnego wyrażania się opinii publicznej. W Wielkiej Brytanii istnieje specjalna komisja, mająca na celu ochronę przed nadmiernym łączeniem się pism w wielkie koncerty.

Te krótkie uwagi na marginesie rozważań o demokracji jako o złożonym zjawisku winny wykazać, że wolność nie jest łatwym zadaniem, szczególnie w tych krajach, które owej wolności obywatelskiej — czyli właśnie demokracji — przodowały.

Zbigniew Grabowski

gdy w Polsce przy mniejszym zaludnieniu na km.<sup>2</sup> mówi się o przeludnieniu. Fakt ten ma, względnie może mieć w przyszłości następstwa natury politycznej, albowiem nikt nie może nam dać gwarancji, że kiedyś w przyszłości niemiecki „Drang nach Osten“ nie odrodzi się i nie będzie usiłował wypełnić „próżni“ na Wschodzie.

Zanim przystąpimy do analizy przyczyn panującego w PRL stanu rzeczy, zróbmy porównanie z Rumunią, która była krajem biedniejszym od Polski. W roku 1966 nastąpiła bardzo duża zmiana w polityce ludnościowej rządu rumuńskiego, polegająca na wprowadzaniu zakazu przerywania ciąży i znacznym podniesieniu zasiłków rodzinnych. Skutki zmiany dotychczasowej polityki nie dały na siebie długo czekać, bo przyrost naturalny wzrósł gwałtownie z 6.1 w 1966 roku do 17.8 na tysiąc mieszkańców.

Jakie są przyczyny tak fatalnego stanu rzeczy w PRL? Są one wielorakie, ale wszystkie przyczyny mają u swych podstaw panujący w Polsce skostniały, biurokratyczny i doktrynalny system rządów Gomułki, który wybitny pisarz i publicysta, Kisielewski, na walnym zebraniu Związku Literatów Polskich w lutym 1968 roku nazwał rządem ciemniaków. A oto przyczyny: 1) niskie uposażenia; 2) brak mieszkań; 3) brak żywności, a przede wszystkim mięsa i nabiałów, a u podstawy tych braków leży obłądna polityka rolna partii; 4) brak dostatecznej ilości złóbków dziecięcych i przedszkoli; 5) skandalicznie niskie dodatki rodzinne na dzieci, wynoszą — 37 zł. 50 groszy miesięcznie; 6) brak należytej opieki lekarskiej i niedostateczna ilość szpitali; 7) niespotykane, poza Rosją Sowiecką, pijaństwo; 8) spędzanie płodu na niebывалą skalę, wynoszące **pół miliona przerwanych ciąż rocznie**. Oto niezupełnie kompletna lista zbrodni, popełnianych systematycznie od 25 lat przez PZPR.

Zajmijmy się choćby pobieżnym omówieniem poszczególnych zagadnień, wymienionych powyżej.

Na V-tym zjeździe PZPRu w listopadzie 1968 r. Gomułka oznajmił, że w tym właśnie roku dochód narodowy w porównaniu z rokiem 1938

wzrósł czterokrotnie, zaś wzrost produkcji przemysłowej za ten sam okres czasu był trzynastokrotnie większy. Tu powstaje pytanie: jeżeli jest tak dobrze, to dlaczego jest tak źle i dlaczego nie zanoszą się na poprawę? Oficjalne czynniki podają, że przeciętny zarobek robotnika wynosi 2.240 zł. miesięcznie, co nie odpowiada prawdzie, gdyż rzeczywista płaca nie przekracza 2.000 zł. Ale gdybyśmy nawet przyjęli przeciętny „statystyczny“ zarobek za prawdziwy, to przy stale wzrastających cenach zarówno żywności, jak i artykułów przemysłowych, utrzymanie cztero-osobowej rodziny staje się rzeczą wykluczoną. I to jest pierwszą przyczyną spadku naturalnego przyrostu ludności. Zamężne kobiety, obdarzone potomstwem, chcąc łączyć budżet domowy pracą zarobkową, nie mają gdzie umieścić dzieci na czas swej nieobecności w domu. Ileż to razy widziałem pięć, sześćioletnie dzieci, pozostawione bez opieki z uwieszonym na szyi kluczem do mieszkania. Tego rodzaju „opieka“ nad dziećmi jest najprostszą drogą do chuligaństwa i drobnych kradzieży. Żeby uniknąć tego rodzaju konsekwencji, nadmierna liczba kobiet po prostu pozbywa się ciąży.

W zakresie budownictwa mieszkaniowego polityka partii jest wręcz skandaliczna, albowiem budownictwo to nie nadąża za potrzebami, wskutek czego ogonek, w którym się czeka na przydział mieszkania, wydłuża się coraz bardziej, a czas oczekiwania na taki przydział wynosi od 9 do 15 lat. Jeśli się wreszcie takie mieszkanie dostanie, to będą to małe kłitki z maleńką kuchenką, najczęściej bez okna. Miałem możliwość widzieć cały szereg tego rodzaju mieszkań. W tych warunkach w PRL rozpowszechniła się plaga tzw. „dokwaterowywania“, a więc upychania ludzi na małej przestrzeni. Jakże są tego następstwa?

W pewnym mieście wojewódzkim odwiedziłem swoich przedwojennych znajomych. Mówiło się o wielu sprawach, a między innymi o sprawach mieszkaniowych. „W naszej kamienicy w ubiegłym roku powiesił się mężczyzna, a w tym roku otruła się kobieta, a w sąsiedniej kamieni-

cy pewien mężczyzna wyskoczył z okna trzeciego piętra i zabił się. Nie mogli oni wytrzymać ze współlokatorami“ informuje pani domu. W tych warunkach młodzi ludzie starają się unikać zawierania związków małżeńskich i korzystają z usług prostytutek, których liczba (zarejestrowanych) wynosi **dziesięć tysięcy**. Dobrze poinformowani twierdzą, że drugie tyle prostitutek jest nie zarejestrowanych. Proceder ten zaczyna być praktykowany w licznych wypadkach przez 14-letnie dziewczęta. Na tym tle, jak mnie poinformował docent, dr medycyny i kierownik kliniki dermatologicznej w jednym z większych miast wojewódzkich, choroby weneryczne osiągnęły poziom z okresu ostatniej wojny.

Jak wytłumaczyć chroniczny brak żywności? Odpowiedź na to pytanie jest prosta. Jeżeli wyprodukowanie jednego kilograma wieprzowiny kosztuje chłopca 23 zł., a wszystkim zajmująca się partia płaci temuż chłopcu 21 zł., to taka hodowla nie opłaca się i wskutek tego pogłowie trzody chlewnej w roku ubiegłym zmniejszyło się aż o 6,3 procent i wykazuje dalszą tendencję zniżkową. Potwierdza to zresztą naczelny organ partii, „Trybuna Ludu“, która w Nr. 272 z dnia 30 września br. pisze: Po dobrym urodzaju zbóż i ziemniaków w województwie krakowskim znacznie zmalało pogłowie trzody chlewnej“. Oczywiście, problem ten, według tegoż organu „skupia uwagę aktywu partyjnego i gospodarczego“, co, dodajmy od siebie, trwa od 25 lat z rezultatami, jak wyżej.

Co się tyczy opieki lekarskiej, to o ile w miastach na jednego lekarza przypada około 300 mieszkańców, to na wsi sprawa ta wygląda wręcz skandalicznie, gdyż tam na jednego lekarza przypada ponad 6.000 mieszkańców, wskutek czego śmiertelność zarówno wśród starszych roczników, jak i wśród niemowląt jest bardzo wysoka. To są również skutki polityki partii, która wpadła na pomysł dzielenia inwestycji na produkcyjne i nieprodukcyjne. Wydatki na służbę zdrowia, opiekę społeczną itp., zaliczono do inwestycji nieprodukcyjnych, a więc na tym odcinku przeprowadza się



# GENERAŁ SOSNKOWSKI W POLSCE NIEPODLEGŁEJ

**D**NIA 11 października minął rok od zgonu generała broni Kazimierza Sosnkowskiego, najstarszego wśród żyjących żołnierza Rzeczypospolitej, jednego z czołowych budowniczych jej niepodległego bytu i trzeciego z kolei Naczelnego Wodza P.S.Z. podczas II. wojny światowej.

Nie sposób nie uczcić tej bolesnej rocznicy na łamach „Orła Białego“, naczelnego organu kombatantów, dla których Zmarły stał się ucieleśnieniem nieustępliwego, niezmordowanego bojownika o wolność i niepodległość Ojczyzny — nie tylko dlatego, że o nią walczył nieprzerwanie przez 65 lat.

Nie zamierzam i nie mógłbym w ramach jednego artykułu opisać wszystkich etapów tej tak długiej, różnorodnej a zawsze ofiarnej i wiernej służby Generała. Ograniczę się do okresu jego działalności, roli i postawy podczas naszej prawdziwej niepodległości. Zarówno dlatego, że ten jego wkład jest mniej znany niż wcześniejszy czy późniejszy, jak i dlatego, że w tym okresie mogłem jego wielkie osiągnięcia i częściowe zawody obserwować oraz jego wybitne talenty i charakterystyczne a szlachetne cechy poznać.

## P O L S K A ...

oszczędności, aby móc zaspokoić wzrastające potrzeby i wymagania aparatu ucisku, który rozrósł się do niebywałych rozmiarów i którego apetyt wzrasta w miarę jedzenia.

Pijaństwo w Polsce Gomułki jest zjawiskiem przerażającym. Ani w Polsce przedwojennej, ani też w żadnym kraju Europy Zachodniej doby obecnej nie widziałem takich ogonków przed sklepami z alkoholem, jakie widziałem w Polsce. Również nigdy i nigdzie nie widziałem tylu pijanych ludzi, ilu widziałem w Polsce. Gdy w Poznaniu zapytałem fryzjera, dlaczego w Polsce kwitnie tak duże pijaństwo, odpowiedział: „Nasz dzień jest dniem bez jutra, jest dniem bez żadnych nadziei na przyszłość, więc ludzie zalewają robaka,

Zaraz na wstępie chciałbym wspomnieć, że ten nasz później najstarszy generał był ongiś, mianowicie w 1918 roku, naszym najmłodszym generałem. Wszak już w kilka dni po powrocie z twierdzy magdeburskiej do Warszawy, gdy miał za ledwie 33 lata, został mianowany generałem brygady i dowódą Warszawskiego Okręgu Wojskowego, wówczas najważniejszego. Że na tym odpowiedzialnym stanowisku dwoił się i troił, dodawać nie potrzeba. Warto natomiast wspomnieć o mało znanym fakcie, że wyjątkowo ciężka grypa po kilku tygodniach, niemal przecięła pasmo jego młodego życia. Już w marcu 1919 r. miał zostać ministrem spraw wojskowych, ale, obawiając się nadmiaru obowiązków reprezentacyjnych, szczęśliwie wyprosił mianowanie go „tylko“ wiceministrem. Dzięki temu mógł bez reszty oddać się pracy organizacyjnej i szkoleniowej, wymagającej (wobec różnorodności kadry, braku broni, sprzętu i własnych wytwórni oraz walk na kilku frontach) zaiste tytanicznego wysiłku i niełada zdolności i pomysłowości. Sprostał temu zadaniu w pełni, choć musiał równocześnie reprezentować resort obro-

ny w sejmie, w którym zresztą zdobył sobie rychło mir i zaufanie — dzięki jasności i logice argumentacji, taktowi i wrodzonemu czarowi.

W kwietniu 1920 r. został generałem dywizji, a 15 maja dowódcą armii rezerwowej, na której czele nie tylko zatrzymał groźne uderzenie Tuchaczewskiego od północy, ale także (razem z sąsiednimi armiami) odrzucił bolszewików za Autę i Berezynę. Wróciwszy zaraz po rozwiązaniu tej improwizowanej armii do Warszawy, został 9 sierpnia, gdy wszystko zdawało się walić, ministrem spraw wojskowych w rządzie jedności narodowej Witosa i Daszyńskiego oraz członkiem Rady Obrony Państwa. Przyczynił się walnie do opanowania powstającej już paniki, do wyłapywania łazików, do utracenia projektów przeniesienia rządów do Poznania, do wzmocnienia obronności stolicy, do wprowadzenia sądów doraźnych itd. Przede wszystkim jednak wydobywał niejako spod ziemi posiłki dla pękającego pod przemożnym naporem frontu. Głównie dzięki jego zabiegom i wysiłkom Naczelnny Wódz otrzymał między 1 lipca a 20 sierpnia ponad 170.000 jako tako uzbrojonych i wyszkolonych żołnierzy, w tym 80.000 ochotników, nowe pułki piechoty i kawalerii, całą dywizję ochotniczą, 70 dodatkowych baterii oraz ponad 200 dział i 1.000 c.k.m. dla uzupełnienia najbardziej wyczerpanych i zdziesiątkowanych dywizji. Bez tego zastrzyku ludzi, broni i zapłału nawet najlepsze nasze dywizje, zmęczone długim odwrotem, nie zdołałyby wykonać planu tak dobrze, jak go wykonały. W koncypowaniu i opracowaniu tego zaskakującego i arcyryzykownego planu gen. Sosnkowski udziału nie brał, był jednak stale „au courant“ zarządzeń i wydarzeń, spotykając się w owym krytycznym okresie codziennie z gen. Rozwadowskim i gen. Weygandem, których dąsy i waśnie cudownie łagodził. Spotykał się, oczywiście, także z Naczelnym Wodzem aż do jego

Michał Wyrwicz

wyjazdu do Puław, a następnie do Siedlec.

Po zakończeniu działań wojennych nie tylko przeprowadził demobilizację bez poważniejszych zgrzytów, ale także przeciwstawił się skutecznie wciąganiu wojska do rozgrywek partyjnych, pomagał powstańcom śląskim, położył podwaliny pod osadnictwo wojskowe i budowę przemysłu uzbrojeniowego, ułatwił akademikom, którzy poszli na front, ukończenie studiów, wreszcie stordedował próby zrezygnowania z tworzenia morskiej floty wojennej.

W lutym 1921 r. towarzyszył marsz. Piłsudskiemu w oficjalnej wizycie do Francji i uzgodnił z marsz. Fochem, którego w 2 lata później obwoził po Polsce, szczegóły polsko-francuskiej konwencji wojskowej.

Na stanowisku ministra spraw wojskowych pozostał bez przerwy do końca maja 1923 r. — w kolejnych gabinetach Ponikowskiego, Nowaka i gen. Sikorskiego. Został nim ponownie w gabinecie Władysława Grabskiego w grudniu 1923 roku, jednak już w lutym 1924 roku podał się do dymisji i to nie tylko wskutek budżetowych sporów z premierem. Proponowanego mu nieco później stanowiska ambasadora w Moskwie nie przyjął. Wolał przyjąć skromniejszą, ale wojskową funkcję dowódcy okręgu wojskowego VII w Poznaniu. Zanim ją na dobre objął, wyjechał na czele delegacji do Genewy na odbywające się tam rokowania rozbrojenowe. Podczas tej konferencji, obesłanej przez 47 państw, odegrał poważną rolę — jako przewodniczący komisji wojskowej i inicjator kilku uchwał, m.in. odmiennego traktowania państw graniczących z Sowietami.

Czy i jaką rolę odegrał Sosnkowski w przewlekłych i dramatycznych sporach na temat organizacji naczelnych władz wojskowych, trudno ustalić. Podobno opracował, jak podaje Pobóg-Malinowski w „Najnowszej Historii Politycznej Polski“, jakiś kompromisowy projekt, który marsz. Piłsudski odrzucił. Może dlatego, a może z powodu uchylenia się od przejścia szefostwa sztabu generalnego po gen. Stanisławie Hallerze nastąpiło przejściowe rozluźnienie stosunków między nim a marsz. Pił-

sudskim, przebywającym wówczas w Sulejówku. Tak czy inaczej Sosnkowski nie został wtajemniczony w przygotowania do majowego wystąpienia, które, niestety, (wbrew przewidywaniom marsz. Piłsudskiego) doprowadziło do bratobójczej walki. To trzymanie Sosnkowskiego „na uboczu“ nie było, jak przypuszczam, spowodowane utratą zaufania do jego dyskrecji. Raczej albo świadomością, że znajdzie się on w koflikcie sprzecznych lojalności, albo postanowieniem Marszałka trzymania swego b. „szefa“ zdala od ryzykownej rozgrywki, by w wypadku jej niepowodzenia nie był „spalony“. Toteż polecił mu przez łącznika wracać niezwłocznie do Poznania, gdy się dowiedział, że Sosnkowski przybył 11 maja do Warszawy. Równocześnie kazał go powiadomić, że akcja rozpocznie się nieodwołalnie nazajutrz. Niestety, tylko owo polecenie dotarło do niego i to przez przygodnego informatora, bo upoważniony łącznik nie zdołał go odszukać, wobec tego odjechał on niezwłocznie do Poznania. — Zdezorientowany, rozżalony zupełnym odsunięciem, wstrząśnięty rozlewem krwi i świadomy prorządowego nastawienia tamtejszego garnizonu i społeczeństwa targnął się tam na swoje życie. Nie było to tylko pozorowane samobójstwo. Świadczy o tym fakt, że pocisk przeszedł tuż obok serca i że rana wymagała aż trzech operacji i bardzo długiej kuraacji i rekonwalescencji.

Bezpośrednio po zakończeniu rekonwalescencji marsz. Piłsudski powołał go na stanowisko inspektora armii i powierzył mu największy odcinek wschodniego frontu (Polesie), stanowiący pivot planowanego kontrmanewru w wypadku sowieckiej agresji. Mało tego. Traktował Generała zawsze jako najstarszego wśród inspektorów armii, czego dowodem, że:

— jemu powierzał zastępstwo, co prawda, z nieco ograniczonymi uprawnieniami, gdy sam wyjeżdżał z Polski — do Rumunii, na Madagę lub do Egiptu,

— na konferencjach zbiorowych jego na końcu o zdanie pytał, pozwalając mu niejako reasumować dyskusję;

— na konferencjach decydujących o wyborze nowych generałów jemu powierzał (po zagajeniu i wymienieniu kandydatów) przewodnicztwo;

— początkowo tylko jego zabierał jako obserwatora na prowadzone przez siebie gry wojenne i dopiero na dwu ostatnich zastąpił go gen. Rydzem-Śmigłym;

— najuważniej słuchał jego wypowiedzi i najgruntowniej czytał jego elaboraty czy opinie, wyrażając się nieraz w superlatywach o ich wnikliwości, rzetelności i przejrzystości. Szczególnie często podkreślał nie tylko wielostronną erydycję, ale także rzadki talent Sosnkowskiego do przenikania i uwzględniania „imponderabiliów“, do łagodzenia sporów, do rozwiązywania zawiłych problemów organizacyjnych, do trafnego oceniania ludzi itd.

Pewne wątpliwości Marszałka można było wyczuć tylko co do jego operacyjnego przygotowania, umiejętności pobierania szybkiej decyzji i odporności na niepowodzenia.

Toteż zamianowanie przez prezydenta Mościckiego (bezpośrednio po zgonie Marszałka) nie jego a gen. Rydza-Śmigłego generalnym inspektorem zaskoczyło go musiało, jak zaskoczyło wielu.

Gen. Sosnkowski przyjął to omińnięcie w sposób superlojalny i dżentelmeński. Wielka szkoda, że nie zdołaliśmy utrwalić na taśmie jego przepięknego i wzruszającego przemówienia, które wygłosił przed frontem wszystkich inspektorów armii do nowego Generalnego Inspektora. Nie było w nim ani cienia zazdrości czy obrażonej miłości własnej. Była tylko troska o przyszłość Ojczyzny, poparta zapewnieniem zdwojenia wysiłków przez wszystkich.

Ten lojalny stosunek do nowego Inspektora Generalnego zachował Generał do końca, choć był raczej rzadko wzywany na rozmowy czy narady i od wielu spraw i prac trzymany z daleka. Nie był również przyciągany do spotkań tzw. „wielkiej piątki“ na Zamku, choć, jak wynika z pamiętników p. Aleksandry Piłsudskiej był upatrzony przez marsz. Piłsudskiego na następcę prezydenta Mościckiego, gdyby Sławek funkcji tej objąć nie mógł.

Mimo tego odsunięcia od spraw



politycznych i wojskowych związa-  
nych z naszym frontem zachodnim,  
Sosnkowski nie przestawał interesowa-  
wać się żywo zmianami w naszej  
sytuacji międzynarodowej i wewnę-  
trznej. Będąc od dawna zwolenni-  
kiem zgody narodowej i silnego rzą-  
du, wprawdzie kontrolowanego przez  
sejm, ale zabezpieczonego przed cią-  
głymi przesileniami, wywoływanymi  
przez nadmierne rozdrobnienie i za-  
cietrzewienie partyjne, swoich prze-  
konań nie ukrywał i w maju 1936 ro-  
ku zgłosił gotowość tworzenia rządu,  
który by dążył do rozszerzenia plat-  
formy, do wprowadzenia różnych re-  
form, do uściślenia współpracy z  
Francją oraz do zwiększenia wydat-  
ków na obronę.

Oferta ta nie została przyjęta.  
Mimo to, unikając zdecydowanie  
tworzenia frondy, swoje zabiegi po-  
nawiał, choć tylko w sposób kame-  
ralny — a nie publiczny. Wyjątkiem  
było jego przemówienie z okazji od-  
ślonięcia pomnika Legionów w Kiel-  
cach w październiku 1938 roku, któ-  
re odbiło się dość głośnym echem.

Narastające także od strony zachodniej zagrożenie widział od dawna, jednak jeszcze na historycznej konferencji z listopada 1934 roku nie całkiem doceniał zawrotne jego tempo. Prawdopodobnie dlatego, że wówczas jeszcze wierzył w możność nakłonienia Francji do wspólnego okiełznania Hitlera. Niestety, daremnie naciskał na Gamelina (w drodze powrotnej z pogrzebu króla Jerzego V.), by Francja nie dopuściła do remilitaryzacji Nadrenii.

Ta działalność polityczna zmarłego przed rokiem Generała odbywała się tylko na marginesie jego pracy wojskowej, która była bezprzykładnie intensywna i wszechstronna do końca: Inspekcjonował często i wnikliwie należące do jego siatki oddziały, pogłębiał plany osłonowe i operacyjne poleskiego odcinka, budował tamże fortyfikacje i przygotowywał zalewy, przewodził z pełnym oddaniem komitetowi opiekującemu się Wyższą Szkołą Wojenną, przeprowadzał gry wojenne i manewry i jako przewodniczący Komitetu dla Spraw Uzbrojenia i Sprzętu nieustannie naciskał na szybszą realizację pożyczki francuskiej, o zwiększenie naszych własnych kredytów

na obronę, o przyspieszenie rozbu-  
dowy C.O.P-u itd.

Choć ponadto życie rodzinne absor-  
bowało go tym więcej, że (miał aż  
5 dorastających synów, Generał  
umiał jeszcze znaleźć czas na studia,  
pracę społeczną, tłumaczenie obcych  
poetów (głównie Baudelaire'a, ale  
także Goethego, Lermontowa, Szek-  
spira), bo posiadał niebywałą wy-  
trzymałość fizyczną i psychiczną  
oraz kapitalną umiejętność wyko-  
rzystywania czasu.

W ostatnich miesiącach przed woj-  
ną niepokoił się coraz bardziej nie-  
znanym mu stanem przygotowań do  
stawienia czoła teutońskiej nawale.  
Nie znał go, bo nie należał do za-  
chodniej ekipy dowódczej. To po-  
zostawanie na uboczu bolało go tym  
bardziej, że niektórzy inspektorowie  
wschodni (Dąb-Biernacki, Norwid-  
Neugebauer i Burhardt-Buckacki)  
otrzymali nowe przydziały, a on na-  
wet po wybuchu wojny był przez  
kilka dni „bezrobotny“, bo zaofiaro-  
wanego mu stanowiska wicepremie-  
ra-koordynatora resortów gospodar-  
czych nie przyjął i przyjąć nie mógł,  
a o jakiś przydział frontowy darem-  
nie zabiegał. Latał wprawdzie dwu-  
krotnie do Lwowa w specjalnych  
misjach, ale dopiero 11 września,  
gdy już było zapóźno, marsz. Śmigły  
zamianował go dowódcą południo-  
wego frontu. Niestety, istniejąca sy-  
tuacja łącznościowa i operacyjna  
uniemożliwiła podjęcie tej funkcji  
i zmusiła Generała do ograniczenia  
się do ratowania z potrzasku przy-  
najmniej 3 dywizji armii „Karpaty“,  
przeskrzydłonych i na północy i na  
południu przez niemieckie zagony.  
W tym celu przeskoczył 13 września  
ze Lwowa do Przemyśla i następnie  
razem z tą grupą przebiegał się przez  
lasy janowskie w kierunku Lwowa,  
p. odniesieniu pięknego zwycięstwa  
pod Muzyłowiczami. Pierścień nie-  
miecki był jednak za silny. Mimo  
rozpaczliwych i bohaterkich prób  
przerwania go tylko jeden mały od-  
dział zdołał się do Lwowa przebieć.  
Gdy dalsza walka stała się już bez-  
nadziejną, Generał o kapitulacji  
nie myślał. Kazał rozwiązać istnie-  
jące jeszcze oddziały i przekradać  
się ku granicy węgierskiej lub do  
Lwowa małymi grupkami. Sam w to-  
warzystwie swego szefa sztabu, płk.

Franciszka Dehmela, przedostał się  
po niebywałych trudach na Węgry na  
początku października, by niebawem  
we Francji rozpocząć nowy okres  
swej służby. Był niezłamany klęską  
i niezrażony zawaleniem się budo-  
wli, do której wzniesienia tak walnie  
się przyczynił.

Już sama ta wybitna, wszech-  
stronna i doniosła rola, jaką Generał  
odegrał podczas 20 lat naszej praw-  
dziwej niepodległości zapewnia mu  
miejsce nie tylko w sercach wszyst-  
kich, którzy mogli przyglądać się  
jego pracy i postawie, świadczącej  
o wyjątkowych zaletach serca, umy-  
słu i charakteru. Jeszcze trwalsze  
miejsce zapewnia mu ona w historii  
naszego oręza, w Panteonie najbar-  
dziej zasłużonych synów Polski.  
Zwłaszcza, że niemniejszą rolę ode-  
grał poprzednio w zmaganiach o jej  
wskrzeszenie a, po pogromie wrze-  
śniowym i Jalcie, o przywrócenie jej  
niepodległości, nieustępliwie walczył  
i zabiegał — aż do zgonu.

Kazimierz Głabisz

**GRYF PUBLICATIONS  
LTD**

**MINA TOMKIEWICZ**

**BOMBY I MYSZY**

*powieść mieszczańska*

Cena 35 sh.

**GEORGE ALLEN  
AND UNWIN**

**MINA TOMKIEWICZ**

**OF BOMBS AND MICE**

*A story of Warsaw ghetto*

Price: 50 sh. 2.50 dol.

**Księgarnia SPK**

20, Queens Gate Terrace,  
LONDON, S.W. 7.



**SZYBKO I TANIO!**

Biuletyny, ulotki reklamowe,  
druki jedno- i wielobarwne  
w y k o n u j ą

**ZAKŁADY GRAFICZNE**

**GRYF PRINTERS (H.C.) LTD.**

171, Battersea Church Road,  
LONDON, S.W. 11.  
Tel. 01 - 228 0879

But be not afraid of greatness: some men are born great, some achieve greatness, and some greatness thrust upon them.

(W. Shakespeare: Twelfth Night).

**J**ESLI CHODZI o Ludwiga van Beethovena, którego 2-setną rocznicę urodzin obchodzi uroczyste całe kulturalne świat, nie żyjemy wątpliwości. Urodził się geniuszem, dał dowód tego w niezliczonych, nieśmiertelnych dziełach, i umarł otoczony aureolą czci i uznania. Aby kierować tłumem gości żałobnych i umożliwić godny przebieg uroczystości pogrzebowej, zawieszano oddziały wojskowe.

Beethoven-muzyk wzbudził taką ciekawość szkolarów i artystów, że każdy rys jego twórczości, każdy szczegół rewolucyjnych innowacji, każda reforma wprowadzona w technikę gry i kierowania koncertem spotkała się z najdokładniejszą analizą i krytycznym oświetleniem. Beethoven-człowiek pozostał, do pewnego stopnia, kontrowersyjny. Był zbyt ekskluzywny, zamknięty i skryty, aby pozwolić biografom na zaprezentowanie ostro zarysowanej osobowości. Istnieje poważna różnica w próbach naszkicowania sylwetki wielkiego człowieka. Zależnie od źródeł, nieraz względnie wiarygodnych, nieraz czerpiących z fantazji rzekomych obserwatorów lub opartych na „wishful thinking“ autorów, wyłania się przed nami różny Beethoven.

W sporze o jego doczesne szczątki i nieśmiertelną duszę żądali posłuchu i lekarze. Beethoven, podobnie zresztą jak Napoleon, (rzecz godna uwagi, gdyż cesarz był przez pewien czas ulubionym bohaterem muzyka — „Trzecią Symfonię“ pisał o nim) cieszy się niesłabnącym zainteresowaniem historyków medycyny i różnych specjalistów, zwłaszcza otologów i psychiatrów. Zażarte dyskusje, przekraczające nieraz pożądany umiar ze strony uczonych, skłoniły władze i duchowieństwo (pod pretekstem chęci oświetlenia prawdy, a zapewnienia spokoju zmarłemu) do udzielenia zezwolenia na dwukrotną ekshumację i komisyjne zbadanie trupa. Wypadek bez precedensu!

Na zainteresowanie medycyny za-

FRYDERYK GÖLDSCHLAG

# WIELKOŚĆ

służył Beethoven nie tylko z powodu rozpiętości, przed nim nigdy nie notowanego, talentu, ale również dla swych przedziwnych anormalności i chorób. Za bardzo cenny przyczynek do tego rozdziału należy uznać pracę polskiego otologa, śp. prof. Laskiewicza.

Najtragiczniejszym schorzeniem, nękającym Beethovena była szybko postępująca głuchota, zauważona już w 28 roku życia. Nietypowy przebieg choroby, niedostateczne sposoby badania, prymitywna znajomość patologii ucha, niedbale prowadzone zapiski itd. utrudniają dzisiaj ustalenie ostatecznego rozpoznania. Przypisywano kompozytorowi i alkoholizm i syfilis jako przyczynę dolegliwości. Nic podobnego. Nie był nałogowym alkoholiczkiem, jakkolwiek historia rodzinna oskarża, może słusznie, dziadka i ojca o ten grzech. Kilę możemy wykluczyć z całą stanowczością. Żadne przeżyciowe objawy, żaden szczegół sekcyjny nie przemawiały za tę sugestią, żadne dodatkowe badanie przy 2-krotnej ekshumacji nie dostarczyło przekonujących dowodów. Musimy się jedynie zadowolić hipotezą, że Beethoven cierpiał na skutki zapalenia ucha wewnętrznego, mieszczonego tak delikatny i unerwiony narząd jak aparat Cortiego. Uszkodzenie jednego z nerwów spowodowało zanik tego, a w konsekwencji głuchotę.

Drugi zespół chorobowy, który dał mu się we znaki, to zaburzenia żółdkowo-jelitowe. Te czynimy odpowiedzialnymi za chorobę wątroby marskość, po łacinie: *cirrhosis*), przebiegającą z żółtaczką i obrzękami. Zwolennicy teorii infekcyjnej utrzymują, że obie choroby spowodował dur brzuszny, przeżyty w młodości.

W stosunkowo wczesnym wieku pojawiły się u niego również niepokojące anormalności psychiczne. Popularny i częsty w krajach anglosaskich „breakdown“ oznacza czasowe zawieszenie normalnego funkcjonowania mózgu i nerwów, prowadzące do załamania się i utra-

ty kontroli. Można ten zespół objawów objąć nazwą „rozstrój nerwowy“.

U Beethovena zaznaczył się dobitniej kilka razy. Szczególnie w lecie 1802 roku. Za poradą lekarzy udał się wówczas z Wiednia do uroczej wioski Heiligenstadt, a tam wystąpiły objawy, wskazujące na poważne nasilenie „rozstroju“, graniczące wręcz z chorobą umysłową.

Historia tej choroby jest przynębiająca. Decydujący wpływ wywarła postępująca głuchota. W swym słynnym testamencie, pisanym właśnie w Heiligenstadt, zwierza się ze swych cierpień i rozpaczy z powodu niezасłużonego ciosu losu. Łudził się i ludzono go w najlepszej wierze, że choroba przesili się, ustabilizuje, i że znajdzie się środek przeciw niej.

Jak laik nie ma wierzyć sumiennym i sławnym lekarzom, aby się ustawicznie rozczarowywać? Jak lekarz, skonfrontowany ze szczególnie złośliwą, mało znaną chorobą, ma zdobyć się wobec pacjenta, myślącego o samobójstwie, na pesymistyczne rokowania lub wyznanie swej ignorancji?

Nie było wyjścia z tej fatalnej sytuacji i w grze oszukiwanych oszustów Beethoven spadał ze szczytu nadziei w przepaść zwątpienia. Że te wahania, prócz krótkotrwałych przerw, nie wpłynęły ujemnie na potęgę twórczości, świadczą zniemiennie o rodzaju talentu.

Wspomniany testament przeszedł do historii jako „heiligenstadtzki“. Poza bolesnym krzykiem rozpaczy muzyka, tracącego słuch, znajdujemy w nim również wyznanie kompleksu winy za różne istotne i przesadzone przewinienia. Dokładny tekst i analiza treści tego dokumentu znajduje się w biografii, pisanej przez oddanego ucznia, majordomusa i powiernika Antona Schindlera, rodem z Moraw.

Beethoven wypląnął szybko w obcym mu środowisku Wiednia, dokąd przywędrował z rodzinnego Bonn. „Przybłądą Bożym“ nazywa go nasz Witold Hulewicz. Miał zna-



# I MEDYCYNĄ

B.D.I.C

komite polecenia i te otwarły mu progi najwyższej arystokracji i artystycznej elity. Zajął się nim gorliwie baron Gottfried van Swieten, syn przybocznego lekarza Marii Teresy, jednego z założycieli słynnej wiedeńskiej szkoły medycznej. Baron położył ogromne zasługi dla oświaty, pełnił funkcje dyrektora nadwornej biblioteki i uchodził za jednego z najmuzykalniejszych ludzi swego czasu. Posiadał fantastyczne zbiory rękopisów i partytur. Beethoven zaawansował na ozdobę jego wieczorów, przeciągających się z reguły do rana, wymagających od popisującego się artysty niesłychanej koncentracji i wysiłku. W historii muzyki baron zajmuje uprzywilejowane miejsce. Jemu poświęcił młody kompozytor swą „Pierwszą Symfonię“.

Inne wielkie domy, szczególnie księcia Lichnowskiego (pochodził ze starej, śląskiej, ongiś polskiej rodziny) nie pozostały w tyle. Beethovena zapraszano, przemieniano w lwa salonowego i rozgłaszano cuda o wyczynach pianisty i genialności improwizatora. Beethoven — rzecz podziwu godna — nie przemienił się w jakiegoś pochlebcę lub towarzysza podróży reakcyjnych kół. Pozostał niezależnym mistrzem tonów, trzeźwo na świat patrzącym, bolejącym nad jego ułomnością, kokietującym wolnościowe ruchy i szerzącym hasła humanitarności. Musiał jednak robić różne kompromisy, pamiętać o swej sytuacji chudopacholka, o zależności od różnych patronów, a równocześnie o swej wartości i godności. Te szalone wymagania nie pozostały bez wpływu na równowagę jego psychiki i przyczyniły się wielce do wytworzenia legendy ekscentryczności, a nawet niepoczytalności.

Ówczesne orkiestry stały na niskim poziomie, natomiast koncerty przeladowywano programem, przerażającym siły najzdrowszego i najbardziej opanowanego artysty. Konflikty Beethovena z muzykami i publicznością należały do stałego repertuaru. Mistrz uchodził za znako-

mitego pedagoga i miał licznych uczniów obojga płci. Wśród nich znaleźli się członkowie panujących rodów i najbliżsi krewni cesarza, również żony najwybitniejszych arystokratów i ich córki. Te właśnie czuły jakiś magiczny pociąg do swego ubóstwianego nauczyciela. Beethoven był wrażliwy na wdzięki dziewczęce, zwłaszcza, gdy ich właścicielki posiadały urodę, talent i niebieską krew. Różnice klasowe stały naturalnie na przeszkodzie poważniejszej myśli o związku tak nierównym i to podsycalo uczucie wątplenia i beznadziejności wiecznego amanta. Gdy dodamy do tego kłopoty rodzinne, trudności z oboma braćmi, złe prowadzenie się i próba samobójstwa osieroconego bratanka, procesy z jedzą-bratową, stale pogarszającą się sytuację finansową z powodu ciągłych wojen, pojmujemy jak ciężko doświadczył los człowieka, skazanego na wielkość, na rewolucyjne przeobrażenie muzyki i osiągnięcie tytułu najgenialszego muzyka świata.

Artysta tej miary był z natury rzeczy zmuszony do częstego komunikowania się z bliźnimi, uciążliwych prób z muzykami, niekończących się konferencji z nakładcami. Beethoven, nie słysząc słów swych rozmówców, odgadywał odpowiedzi i życzenia lub odczytywał je z kartki papieru. Taka sytuacja upokarzała go i wyprowadzała z równowagi. Stąd może pochodziły jego słynne ataki wściekłości, wieczna groźba wisząca nad otoczeniem i nad nim samym. Cierpiał na nie jeszcze przed chorobą uszną, niewątpliwie jednak nasilały się z postępem choroby. Był wówczas nieobliczalny i gotów do każdego nonsensu. Goethe przeraził się jego stanem psychicznym. Swój sąd zamknął w oględnym zdaniu: „Nigdy nie spotkałem człowieka równie wytężonego, nasilonego i żarliwie artystycznego“. Jego nauczyciel Haydn wypalił mu raz bez ogródek: „Robisz na mnie wrażenie osobnika o wielu głowach, sercach i duszach“.

Nic więc dziwnego, że pozostawał

na stopie wojennej z wielu osobistościami a z innymi utrzymywał jedynie zbrojny pokój. Wytracony z równowagi lub pod wpływem jakiejś mylnej interpretacji wydarzenia mógł się unieść do tego stopnia, że znieważał publiczność, nazywając ją „Schweine“ lub oświadczając z podium: Odmawiam dalszego grania wobec tak źle wychowanych świniopasów.

Z biegiem czasu najbliżsi, orkiestra i publiczność pogodzili się z opłakanym stanem rzeczy i, darząc mistrza wyrozumiałością, polykali bez protestu obelgi i groźby. Z pewnych stron padło podejrzenie, że chodziło o ekwiwalent ataku epileptycznego, zwłaszcza, że często następowała zupełna niepamięć. Argumenty wysuwane na poparcie tej tezy nie są zbyt przekonujące. Nie ulega natomiast wątpliwości, że Beethoven przechodził okresy ciężkiej depresji, przygotowujące go o samobójcze myśli. Potrafił ogromną siłą woli i poczuciem ciężących na nim obowiązków otrząsnąć się i nadrobić stracony czas. Jego płodność była zdumiewająca. Każdy prawie utwór dedykował jakiejś ważnej osobie a o jego zdrowym sędzię świadczy fakt, że wybór nigdy prawie nie padł na niegodną. Pamiętał zawsze o swych moralnych długach wobec przyjaciół i protektorów, ale nie zapominał o odpowiedzialności wobec swego geniuszu.

Wymagało to nielada dyplomacji i ostrożnego jedynie angażowania się. Okresy depresji nie sprzyjały ważnym decyzjom, trwały jednak na szczęście niezbyt długo i ustępowały miejsca fазie pogody a nawet radosnego podniecenia. Można więc dopatrywać się czegoś zbliżonego do depresyjno-maniakalnej psychozy. Utwory poczęte wykończone w Heiligenstadt są tego jednym z licznych dowodów. Przeżył niedawno bolesne rozczarowanie z 17-letnią Giuliettą Guicardi, włoską arystokratką, a utalentowaną uczennicą. Niebaczny pedagog zakochał się, nie po raz pierwszy lub ostatni, w młodocianej i ludził się, że znalazł wreszcie ideał absolutnego szczęścia. Jej też potomność przyznała najszczytniejszą, przez Beethovena w dwóch nie wysłanych i nie adresowanych listach użytą

# JERZY MIECZYŚLAW RYTARD

**W** WARSZAWIE zmarł poeta i prozaik starszego pokolenia — Jerzy Mieczysław Rytard. W latach dwudziestych był on znany wśród poetów i literatów raczej niż wśród szerokiej rzeszy czytelników przez swą, rewolucyjną na owe czasy, powieść poetycką „Wniebowstąpienie“ i wiersze. W latach trzydziestych jego powieści turystyczno-sportowe czytane były z zapalem przez młodzież. Po wojnie dość głucho było o nim w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, nie dołączył bowiem do nurtu obowiązującej literatury. Przez całe życie nienawidził kłamstwa i oportunistów.

Rytard nie był intelektualistą. Był sensualistą. Otaczający go świat przeżywał każdym fibrem ciała. Największym jego umiłowaniem było sa-

mo życie, przeżywane z entuzjazmem dla młodości, zdobywczej energii człowieka. Tłem dla tego bogatego, pełnego witalności życia była przyroda. Ale przyroda w jej czystym, nieskażonym przez człowieka pięknie. Taka, jaką stworzył Bóg słowami: „Stań się!“ Wszelkie gwałcenie jej przez człowieka, przykrawanie do własnego gustu i korzyści bolały go jak rany na własnym ciele.

Najbardziej twórcze lata spędził w Tatrach, które kochał i poznawał o każdej porze roku, dnia i nocy. Piękno, majestat i dzikość tatrzańskiej przyrody oddawał słowami po mistrzowsku.

W roku 1922 związał się silniejszym jeszcze węzłem z Podhalem. Na wiosnę tego roku odbył się w starym kościółku na Kościeliskiej ślub Rytarda z Helcią Rejówną. Śliczna ta dziewczyna należała do jednego z najbardziej poważanych rodów w Zakopanem. Jej znajomość środowiska, pieśni, tańców i tradycyjnych obrzędów góralskich była później wielką pomocą w twórczości męża związanej z Podhalem.

Razem jeździli teraz na nartach, razem odbywali kilkudniowe, dokładnie przez Rytarda zaplanowane wycieczki, a wokół nich skupiała się zawsze gromadka artystycznych „ce-

## WIELKOŚĆ I MEDYCYNA

apostrofe „Unsterbliche Geliebte“ (nieśmiertelna ukochana). Dzieweczka — na usprawiedliwienie ma swe niedoświadczenie i wizję zwrócenia na siebie uwagi całego świata — okazywała wzajemność. Przewornie rodzice wydali ją prędko za mąż, a nauczyciel pozostał ze swym zawodem i cierpieniem.

Te wszystkie wzloty i upadki, optymistyczne spojrzenie na świat, zachwyt naturą i idealizowanymi osobami, obok głębokiego pesymizmu i rezygnacji, oddał genialnie tonami w utworach pisanych w Heiligenstadt. Jego żal za wymykającym się szczęściem, łagodna skarga na samotność i ucieczka w absolutne piękno muzyki przemawiają czarownie w „Symfonii D-dur“, poświęconej księciu Lichnowskiemu. Powtórzy ten motyw nieco później w niezmiernie wspaniałych „Kwartetach Razumowskiego“, zgola rewolucyjnych pod względem formy, a będących rodzajem semaforu modnej muzyki.

Zważywszy, że te arcydzieła tworzył artysta fizycznie i psychicznie chory, musimy wyrazić podziw dla osiągnięć takiej twórczości. Beethoven zapracowywał się w przeświadczeniu, że ma do spełnienia szczególną misję.

Obok Beethovena na koturnach istniał Beethoven w pantoflach. I ten jest dla psychologa bardzo po-

ciągający. Witalność, humanitarność, uczucie braterstwa dla ludzkości nie przeszkadzały obywatelowi Ludwigowi odnosić się krytycznie, a nawet surowo do pojedynczych okazów ludzkiej menażerii. Gniew Jowisza-Gromowładcy dosięgał w pierwszym rzędzie obu braci. Najmłodszy Johann nie budzi sympatii. Z zawodu aptekarz dorobił się majątku na dostawach i przemienił się w snoba. Gdy na jednym z jego listów Beethoven znalazł podpis: Johann van Beethoven, Landbesitzer (właściciel dóbr) odplacił się, umieszczając w odpowiedzi: Ludwig van Beethoven, Hirnbesitzer (właściciel mózgu). Jego żonę nazywał stale „Fettlümmerl“ (gubrowaty tłuszcioch), a córkę z nieprawego związku „bastard“.

Humor Beethovena miał w sobie coś z huraganu. Wymagał od świadków dużo zrozumienia i zaparcia się, aby nie stać się jego ofiarą. Granice dobrego smaku ulegały nie raz naruszeniu. Wtajemniczeni w ten żywioł znosili go cierpliwie podobnie jak menu gościnnego gospodarza, którym ich chętnie raczył, a którego jakoś i mikroskopijna ilość były postrachem gości.

W polityce pozwalał sobie na ryzykowną krytykę ustroju, arystokracji i policji. Każdy inny śmiertelnik zapłaciłby drogę za to zuchwalstwo. Beethovena uważały

władze za nieszkodliwego fantastę, zaprzyjaźnionego z najbliższą rodziną cesarza. Śmiano się z niego więcej, aniżeli obawiano. Był jednak niezłym psychologiem i prorokiem. Gdy go straszono rewolucją, zapewniał: Jak długo Austriak ma swoje ciemne piwo i kiełbasę, nic nie grozi.

Słuchając radia czy telewizji, wchodząc na salę koncertową, liczymy się z prawdopodobieństwem, że jeden z utworów będzie dziełem Beethovena i że przeniesie nas w sferę wysublimowanej muzyki. Jest rzeczą zdumiewającą, że jedno życie ludzkie wystarczyło na wypracowanie tylu niezwykłych, niepowtarzalnych, nad wszelką pochwałę wyższych arcydzieł. Obok gigantycznych klejnotów znajdują się i drobne perełki. Beethoven skomponował pieśni różnych narodów. Są wśród nich walijskie, szkockie, irlandzkie i wiele innych. Są i dwie pieśni polskie — rzecz godna wzmianki i pamięci!

Beethoven jako twórca budzi najwyższy podziw, jako człowiek — serdeczną litość. On sam zdawał sobie sprawę z błędnego koła swych życiowych trosk, a niespełnionych marzeń. Korząc się w testamentie przed Stwórcą, błaga Go: O użyj mi jednego dnia czystej radości!

Fryderyk Goldschlag



# OBROŃCA PRZEGRANEJ SPRAWY

prów“, którzy korzystali z ich doświadczenia turystycznego i lubili ich towarzystwo. Helcia, przechrzczona przez męża na „Etlę“, przypadła do serca całej artystycznej cyganerii zakopiańskiej. Miała urodę, wdzięk, takt i zdrowy rozsądek. Towarzystwo jej lubił nawet Karol Szymanowski, który raczej stronił od kobiet, od czynionych mu przez nie awansów i paplaniny. Helcia była dla niego trochę egzotyczna, a przede wszystkim nie była skłonna do hałaśliwych entuzjizmów w związku z jego osobą i twórczością.

Tak więc miał Rytard w Zakopanem garstkę przyjaciół. Najserdeczniej żył się może z Szymanowskim. Mógł temu wrażliwemu artyście pokazywać Tatry w ich całej piękności.

Na skutek gruźlicy kości, którą Karol przeszedł w dzieciństwie, pozostała pewna wrażliwość jednej nogi. Chodził zawsze podpierając się laską i szybko się męczył. Rytard znalazł i na to środek. Aby wprowadzić go w serce gór, woził go furką w głąb dolin tatrzańskich. Zrobili też raz wycieczkę z Janem Pawlikowskim, jego samochodem, wokół masywu tatrzańskiego. Rytardowie zapoznali Karola z folklorem podhalańskim, który chłonał z zachwytem zbierając materiały do przyszłych kompozycji.

We „Wspomnieniach o Karolu Szymanowskim“, wydanych w roku 1947, napisał Rytard o tym okresie: „Strój, obyczaj, budownictwo, śpiew, muzyka, taniec, wierzenia i legendy wszystko było przedmiotem obserwacji i spostrzeżeń, którymi dzielił się nawzajem. Karol interesował się przede wszystkim muzyką, śpiewem, tańcem“.

W roku 1923 zaczął się konkretyzować projekt skomponowania baletu opartego na góralskich motywach muzycznych i tanecznych. „Pomysł owego baletu był naszym wypieszczonym dzieckiem“ — napisał Rytard. — „Stanęło wreszcie na tym, że ja napiszę scenariusz, którego zarys naszkicowałem w maju 1923 roku, rozwinięszy go później w rodzaj libretta“.

Długo zastanawiali się nad tytułem baletu: „Zbójnicy“ — wydawał się banalny, „Siuhaje“ (po słowacku zbójnicy) brzmiał nieładnie. Ostateczny wybór padł na „Harnasie“. Tak określano w Tatrach „honorowego górala, chłopca, którego żywiołem są turnie, hale i granie“.

Przez Szymanowskiego poznał wówczas Rytard wybitnych pisarzy „Młodej Polski“: Reymonta, Orkana, Kasprowicza i Staffa.

Do gromadki bliższych przyjaciół należeli: Karol Stryjeński, Stanisław Ignacy Witkiewicz („Witkacy“), S. Mierczyński, J. Mieczysławski i kilku innych wielbicieli folkloru tatrzańskiego, zamieszkałych w Zakopanem. Do tych stałych mieszkańców dołączali czasem przelotni a mile widziani goście: Mieczysław Grydzewski, Jarosław i Anna Iwaszkiewiczowie, Antoni Słonimski, Bruno Schulz, Tuwimowie i inni.

Na Zakopane przypadł zatem najbujniejszy rozkwit twórczości Rytarda, zaczęła się ona jednak wcześniej. Artystyczne zamiłowania odziedziczył po matce, Izie Kozłowskiej, artystce dramatycznej. Wojna światowa zaskoczyła go w Kijowie. Na Ukrainie zetknął się z bogatą i urzekającą przyrodą tego kraju i z jego folklorem. Jako uczeń zbliżył się do teatru Wysockiej w Kijowie, obracał się w kole aktorów i z zapałem statystował. Zaprzyjaźnił się szczególnie ze znacznie starszym od niego Osterwą i jego żoną. Tam poznał również Jarosława Iwaszkiewicza i kilku jego przyjaciół, m.in. Karola Szymanowskiego. W Kijowie przeżył także rewolucję rosyjską.

Do Warszawy przyjechał w lecie 1918 roku, tryskający energią i radością życia, nie zmniejszonymi przez okropne przejścia na Ukrainie. Był wówczas młody, miał dopiero 18 lat. Tutaj dołączył do gromadki poetów i literatów: Tuwima, Lechonia, Słonimskiego, później Grydzewskiego i Wierzyńskiego. Bywał w „Pikadorze“, pisywał do „Skamandra“.

Rok 1920 ujrzał go w mundurze plutonowego 8-go PALu (8. d.p.)

Po wojnie wrócił do poezji i gromadki przyjaciół, a także do swej niewyczerpanej — zdawałoby się — radości życia. Tatry pociągały go już od powrotu do Polski, swą, nieskażoną jeszcze, dziewiczością przyrody i pięknem.

W r. 1922 ukazało się na łamach „Skamandra“ jego „Wniebowstąpienie“, powieść poetycka, stanowiąca odpowiednik prozatorski wczesnej poezji Skamandrytów. Pojawienie się „Wniebowstąpienia“ powitano jako doniosłe wydarzenie literackie. Autor określił je słusznie jako powieść poetycką, bo nikła warstwa epickiego nurtu pochłonięta tam została przez potężny strumień żywiołu lirycznego. Jest to syfonia: młodości, połączona — jak napisał później S. Lichocki we wstępie do nowego wydania tej książki w r. 1959 — z poszukiwaniem „kwintesencji mądrości w poddaniu się dyktatowi instynktu, kierownictwu pozaracjonalnych imperatywów i natchnień, zrodzonych w owych fundamentalnych, biologicznych złożach naszej osobowości, dzięki którym związani jesteśmy w jedno z całym światem natury“.

W r. 1929 ukazuje się jego cykl poetycki „Noże wiosny“. Ten sam liryzm, który przytłacza prozaikaralistę i usuwa go w cień, charakteryzuje dalsze tomy młodzieńczej prozy: „Bal jesienny“ i „Dalekie spojrzenie“, oraz „Na białej grani“, którego książkę wydano po wojnie pod zmienionym tytułem „W pięknych górach“. (Czyżby słowo „białe“ budziło niemiłe reminiscencje „reakcji politycznej“? Bo książka ta, jak i wszystkie poprzednie, była całkowicie apolityczna).

Spokojne lata zakopiańskie owocowały książkami realistycznymi. Są to: beletryzowany reportaż „Na wielkiej grani“ oraz powieści dla młodzieży — „Koleba na Hliniku“, „Wilczur z Prehyby“, „Dolina wiatrów“ i „Wierchowina“.

Tematyka tych książek jest turystyczno-sportowa, tłem są ukochane zawsze Tatry i ich folklor. Sport jest tutaj dla Rytarda metodą wychowawczą i środkiem do utrzymania tężyzny nie tylko fizycznej, ale i duchowej młodego pokolenia.

W r. 1936 ukazała się psycholo-

giczna powieść Rytarda: „Tysiąc chwil“. Jest to obraz życia polskiego w okresie drugiej niepodległości. Obraz młodego pokolenia miotanego chaosem i niepokojem nowych czasów. Książka ta została przemilczana przez ówczesną krytykę.

Śmierć Karola Szymanowskiego zbiegła się w czasie z rozbiem się małżeństwa Rytarda. Odtąd w twórczości jego i osobie nie było już owej promieniującej na świat witalności.

Trudne warunki wojenne zrujnowały zdrowie pisarza. Przeszedł zapalenie płuc i rozwinęła się gruźlica. Leczone go jedynym dostępnym wówczas środkiem — odmą. Nerwy zszarpane chorobą z trudem wytrzymały rzeczywistość powojenną. Pisał jednak ciągle.

W r. 1948 wydał trzyaktową sztukę pt. „Zielone Świąta“, którą nazwał komedio-dramatem. Rozkochany dawniej bezkrytycznie w egzotyce ludu podhalańskiego, ukazał tutaj autor doskonale wystudiowane, realistyczne typy, bez ich gloryfikacji. Tropił rozkładowe społecznie rysy tej zbiorowości.

Dalszą próbą dramatyczną była adaptacja sceniczna powieści Prusa „Placówka“. W przeróbce tytuł brzmiał „Ziemia“. Krytyk literacki, Jerzy Eugeniusz Płomiński, napisał o niej, że należy „do najbardziej twórczych i najlepszych chyba w polskiej literaturze dramatycznej minionego ćwierćwiecza“.

W roku 1947 wydał Rytard swe „Wspomnienia o Karolu Szymanow-

skim“. Jest to pełne prostoty opowiadanie o przyjaźni ze znakomitym kompozytorem i pełnym uroku człowiekiem na tle życia zakopiańskiego.

Ostatnią wydaną książką jest realistyczna powieść „Barba“ (1956) o życiu polskim wśród nowej rzeczywistości. Rozgrywa się ona (jakże mogłoby być inaczej) w odległym zakątku podgórskim. Echa przewrotu politycznego, gospodarczego i społecznego dochodzą tu z oddali, dostrzegalne dzięki zmianom jakim ulega młode pokolenie. Element buntu przeciw nowej rzeczywistości reprezentuje babka, traktowana przez otoczenie z serdeczną pobłażliwością. Ta nieco groteskowa starszuszka wypowiada czasem zadziwiająco trafne sądy.

Rytard napisał jeszcze obszerny pamiętnik, który nie znalazł nakładcy. Nie były również drukowane jego ostatnie wiersze, pełne zapytań, przerażenia i ostrzeżeń dla ludzkości, która w dążeniu do władzy i użycia, do jak największych osiągnięć technicznych, zбочyła ze szlaku prawdy i dobroci, gwałci prawa natury i niszczy przyrodę, bez której nie może istnieć.

Wiadomości o śmierci przyjaciół: Lechonia, Malczewskiego Rafała, Wierzyńskiego, Grydzewskiego, budziły jeszcze większe poczucie osamotnienia w świecie, z którego czuł się wyobcowany.

Po wojnie i śmierci pierwszej żony, Helci Rojówny, ożenił się Rytard po raz wtóry. Oblicze tego małżeństwa było zupełnie odmienne, bo i czasy były odmienne, i Rytard stał się inny. Młoda żona była od początku i pozostała do końca wierną towarzyszką, opiekunką i najtroskliwszą, cierpliwą pielęgniarzką. Mimo tej bezustannej opieki ostatnie lata były dla niego bardzo ciężkie. Stan zdrowia pogarszał się ciągle. Płuca, serce, wątroba — wszystkie najważniejsze organy podniosły bunt. Prócz dolegliwości fizycznych, cierpiał na chorobę przerostu cywilizacji i tłumów, brak powietrza i ciszy w hałaśliwej Warszawie, prostactwo stosunków międzyludzkich, zdziwienie obyczajów, chuligaństwo najbliższych sąsiadów. Nic nie splaywało po nim jak w młodzieńczych latach, wszystko sięgało do głębi i podgry-

zało korzenie jego fizycznego i psychicznego bytu.

Zmarł 22 września 1970 roku. Lekarze byli bezsilni wobec choroby, która go toczyła.

Krystyna Brzozowska

Wzmacniajcie nerwy i oczyszczajcie krew, a będziecie cieszyć się zdrowiem i wzmoczoną wydajnością w pracy!

Wyciąg z życiodajnych gruczołów zwierzęcych

## KALEFLUID

Używanie naszego preparatu polepsza stan zdrowia w sposób bardzo znaczny, w wypadkach ogólnego osłabienia, depresji nerwowej, zmęczenia, wyczerpania, zaburzenia i starości. U kobiet również w wieku przejściowym. W sprzedaży w wielkich aptekach. Wysyłamy bezpłatnie w języku polskim przepisy używania.

Laboratoire B. KALEFLUID

FRANCJA  
66, BLD. EXELMANS. PARIS 16-e.

MAJOR-GENERAL J. F. C. FULLER  
C.B., C.B.E., D.S.O.

## THE BATTLE OF WARSAW, 1920

przedruk z książki

„The Decisive Battles of the Western World“

z okazji 50-tej rocznicy  
zwycięstwa  
nad armią bolszewicką

Cena 3 s. z przesyłką 3/6

KSIĘGARNIA SPK,  
20, Queens Gate Terrace,  
London, S.W. 7.

INSTYTUT LITERACKI

WITOLD GOMBROWICZ

## KOSMOS

Tom IV-ty DZIEŁ ZEBRANYCH

Cena: 31 s. — 15 F. — 3.75 dol.

Str. 160

Księgarnia SPK

20, Queens Gate Terrace,  
LONDON, S.W. 7.

## OFICyna POETÓW I MALARZY

FRANCISZEK LACHOCKI

## G N I A Z D A J A S K Ó Ł C Z E

poezje

Do nabycia bezpośrednio u autora:

FRANK LACHOCKI,

74-22nd Street,

Irvington, N.J. Z.C.07111, USA.

lub w księgarniach.

Cena: 3.00 dol. lub równowartość  
w innych walutach.



## KOMUNIKAT

**O**BSERWATORIUM seismograficzne donosi: Wezuwiusz...

Obserwatorium ogłasza swój komunikat we wszystkich językach świata.

Czy zdołamy wyliczyć te języki i narzecza, w których nadawany jest ten komunikat? Nie, chyba nie potrafimy, zagubiliśmy się w ich liczbie, której zapewne nie znamy.

Komunikat głosi:

... chmury dymu, czadu, wyziewów, rozlewają się aż poza granice horyzontów. Zasłoniły i zalały wszystko, co było dotychczas widzialne.

Gaje cytryn, połyskujące dębiny,

lasz modrzewiowe toną w skłębiomych tumanach.

Ludzie wloką się drogami, patrząc osłupiałym, otępiałym wzrokiem na szaleństwo odwiecznego, jakże dobrane znanego wulkanu.

Tym razem erupcje jego przekroczyły wszelkie granice i miary. Rzeki lawy, morze popiołów, gejzery rozżarzonych substancji, wybuchy rozpalonych głazów, chmury kipiących oparów — oto obraz! Słyszycie? — w potop ognisty może zamieścić się wszystko!

Potrzebna Arka Noego.

Gdzie Noe? Gdzie Arka?

Czy to wy mnie, czy ja wam, czy

też może my wszyscy wam wszystkim — mówimy to, komunikując, ostrzegając, zawiadamiając, mówimy, mówimy, mówimy...

Tak oto donosi seismograficzne obserwatorium:

Wielojęzyczny komunikat o szaleństwach swego własnego wezuwiusza kłamstwa, nadają narody. O tym jak powietrze potrzebne do oddychania zamienia się w dławiące wyziewy.

Ach, Bogu chwała! — i o tym także, jak pustoszeją gaje oliwek i cytryn, połyskujące dębiny i lasz modrzewiowe!...

Ustroń — wrzesień 1949.

## SEN CZY JAWA?

**W**CISZY nocnej huknął potężny grzmot, potem drugi, trzeci, aż zadrzały płazowe ściany. Aha, to gwoździe strzelają w gontach. Przetarłem z trudem oblodzoną szybę. Na termometrze 30 stopni poniżej zera. Jasno, blask razi oczy.

Wyskoczyłem z ciepłej izby, kłęb pary zatańczył migotliwie w czarnej, mroźnej sieni.

Narty, pociągnięte leciutko miksem pod wiązaniem, dotknęły cicho śniegu. Miętko wyniosły spomiędzy domów po jednym odbiciu kijkami.

Sen czy jawa?

Och, na pewno ogrody Semiramidy to błahostka wobec tych widoków, wobec tego światła.

Seledyn niepokalany, wprost idealny, przedziwnie rozjarzony.

Prostopadłym brzyzkiem wyszedłem lekko na Stawiańce, pierwsze wzniesienie Symoskowej. Miśk trzymał miętko, nie kleił śniegu pod deską, nie zbijał grud. Posunie się nartą — czysta jak szkło, uderzy się trochę z góry podchodząc — siedzi w śladzie lepiej niż foka.

Lekkość w nogach, w ramionach, w całym ciele. Nartki jak zapałki nie ważą, z radosnym furkotem dziobów idą pod górę, kijki bambusowe, jak piórka, płoną złociście, niby promienie świetlne i grają kółkami w powietrzu matowym furko-

tem. Szpice ostre śpiewają żałośnie po wbiciu w zmrózony straszliwie śnieg, później, gdy kijek się pochyla przy posuwaniu, jęczą przeciągle. a potem już tylko jeden ostry skowyt. Cichy szmer nart w śniegu akompaniuje delikatnie.

Rytmiczne, rozkołysane wznoszenie się pod górę dyryguje mięśniami, ujmując je w harmonię prawidłową. Mroźne powietrze niewidzialnym woalem łaskocze i kłuje twarz. Lecz ciepło ruchu zaczyna już obejmować całe ciało i ten mróz, piekielny dla wszystkiego, co trwa w miejscu, działa odświeżająco. Mróz to zmniejszenie wagi. Uelastycznia i czyni połowę lżejszym.

W najwyższym punkcie Symoskowej zatrzymałem się. Czarny, wysoki las nad głową. Nieruchomy. Przesłaniał zbocza i płaską grań Gubalówki. Spojrzałem za siebie.

Wyiskrzona, obrzymia muszla doliny od wschodu do zachodu. Trójkątne piramidy Regli w barwie indygo, a nad nimi fale — srebrnozłote, fosforyzujące, pełne lśniń — góry, ściany podniebne, ciała polarne. Diamentowa korona świata. Pożęzna fatamorgana od Hawrania po Osobitą. Nad Krzesanicą księżyc jarzący. A ponad tym wszystkim jakby stężała szklana przestrzeń.

Cisza międzyplanetarna.

Zaskrzypiał rzemień przy wiązaniu. Ocknąłem się.

Teraz prędko na szczyt.

Sunąłem dnem lasu do góry, przez ciemne i zielonkawe płasnie.

Załamania, falistości, garby nawiane.

To nie był śnieg, to ideał marzenia narciarskiego, który zmaterializował się tej nocy. Twardy, jednolity podkład, na nim pięć centymetrów miękkiego puchu, ściętego mrozem w duże, sypkie kryształki.

Narty fruwały miętko, jak w powietrzu.

Już jestem pod Pająkówką. Czas i odległość nie istnieją. Wszystko odsuwa się gdzieś w dół poza mnie — złudzeniem nierealnym. Minąłem następne zbocze — żebro. Zabawne Brzuchocówki. Zakosy odpadały lekko niby nitki przecięte brzytwą w powietrzu. Na Hockowskim słaby, podszczytowy podmuch.

Od wschodu napłynął pierwszy obłok, za nim ciągną inne i nabrzmiwiają kuliste, ostepiająco jasne. Unoszą się nad księżycem — wielkie, okrągłe, kołyszące się perły, zrodzone przez niebo.

Ostatni grzebień lasu. Wpływam w cień. Suche gałązki, sterczące z pni, trącone ramieniem, łamią się, chrobocząc przeraźliwie w ciszy, i z matowym sykiem suną w dół po śnie-

**T**ECHNIKA techniką, ale gdy na tzw. łonie natury zakasuję się od technologicznych dymów, albo pękają mi bębniaki od technologicznych warkotów i hałasów, coraz częściej wydaje mi się, że wolałabym spokojnie i wolniej, bez takiej ilości techniki. A już na pewno wiem, że przekładam dorożkę nad samolot, ale co mam zrobić z wiecznie zagonionym mężem, który nie chce chodzić nawet podczas urlopu, a co dopiero, kiedy trzeba dotrzeć — w poszukiwaniu natury! — do np. Hiszpanii. Więc poświęcam się i lecę samolotem, nie omieszkując podkreślać swego poświęcenia urbi et orbi, a także — za każdym razem — spisując testament, albo testamentując ustnie, ale za to wymownie.

Kiedy na tę moją psychiczną pozycję padły bakcyle highjacking czterech samolotów z setkami niewinnych ludzi, kiedy z oszalałej powodzi słów, ochów i achów, wydawanych przez światowe rządy i także środki komunikacji, wynikło

gu, aż utkną, zatrzymane na zebrałym przed sobą puchu.

W twarz uderzył piekący podmuch. Pochyliłem głowę. Im wyżej, tym silniej duło. To jedna z niespodzianek górskich. Nigdy się jej nie przewidzi, choćby się miało jak na dłoni wszystkie oznaki ciszy.

Jeszcze małe podejście. Kilka silnych podciągnięć kijkami, krótka seria posunięć gwałtowniejszych, mniej równych, bo niecierpliwych, i deski ślizgają się lekko po szerokiej grani Gubałówki. Parę łyżwowych odepchnięć i pofrunąłem w przestrzeń jak ptak muskający lekko powierzchnię wody.

Wiatru nie ma. Tylko równy, płynący z jedną siłą prąd lodowatego powietrza. Pałący oddech wschodu. W oczach łyż. Zatoczyłem łuk. Na plecach czuję sztylety mroźnych powiewów.

Cicha, długa chwila obejmowania wzrokiem zdobytego widoku. Wielkie koło zatoczone pożądliwie oczami chłonącymi konfigurację szczytów, dolin, przestrzeń przed nimi, śniegi wyskrzone, czarne stożki smreków.

Żrenice polykają to wszystko żarłocznie.

MINA TOMKIEWICZ

## REFLEKSJE ZE

niezbicie, że na bandytyzm żadne techniki nie pomogą, a mocarstwa korzą się bezsilnie wobec bezprawia — strach mój osiągnął szczyty. Tym niemniej, raz kozie śmierć, powiedziałam sobie, i pełna najgorszych przeczuć pojechałam na londyńskie lotnisko, przygotowaną bohaterko, że rozbiórą mnie do rosołu w poszukiwaniu bomb, że rozrzucą na wieździe wszystkie graty i łachy pięknie zapakowane przez życzliwe przyjaciółki. Czego nie znosi się dla bezpieczeństwa podniebnych lotów!

Spotkało mnie śmiertelne rozczarowanie. Nikt nie spojrział nawet na moją skromną osobę, żadnej rewizji osobistej, moje walizki dotknął tylko tragarz. Mimo to, że zgodnie z przysłowiowym angielskim porządkiem, nie byłam wpisana na listę wycieczki, którą załatwiłam sześć tygodni

temu, aby broń Boże nie przekroczyć przepisanego przez władze bezpieczeństwa terminu 48 godzin przed lotem, bez żadnych kłopotów i badań dostałam się na samolot, a jedyna osoba w wielkim tłumie pasażerów, z którą jakiś niezręcznie zakamuflażowany policjant pertraktował grzecznie przez jakieś dwie minuty, to był 100-letni murzyn, nie wiem dlaczego posądzony o handel żywym towarem. Jeżeli to ma być security, to ja jestem pumpernikiel, pomyślałam, i trochę nawet żalowałam, że nie mam przy sobie kilku armatek, albo tony kokainy, mogłabym świetnie zarobić. I miałam nadzieję, że na jordańskiej czy irackiej pustyni znajdzie się ze mną angielski minister bezpieczeństwa, albo nawet książę Karol, to wtedy może coś ich ruszy. No, ale w koń-

### SEN CZY JAWA?

Jak długo trwała ta kontemplacja, nie wiem. Obudził mnie mróz piekącymi kleszczami.

W dół. Jazda!

Arktyczna zawiesina powietrza rozdarła pędem tnie po twarzy, kąsa oczy, usta. Świszczą jadowicie jej gryzące różgi.

Wszystko płynie, ucieka. Błyskawice, sekundy, smugi cieniste, iskry, lśnienia. Łuk w prawo, łuk w lewo, prostopadłe pluśnięcie w dół jak na wahadle wyniosło na okrągłą kopułę, znów pomykam ku dołowi, chrzęst mijanego lasu, syk przeciętej polany, spadam prostopadłe do wąziutkiej polnej ścieżki. Mignięcie, chrupot, już jest w górze, gdzieś nad głową. Porywa w puszystą muszlę! Teraz olbrzymie skośne zbocze, sekunda, dwie, trzy, łuk, już nie ma zbocza! Droga, opór, 50 metrów charkotania desek drążących w podskokach na zlodowaceniach i nierównościach. Krystiana w prawo. Oddech głęboki, już furczy znowu koło uszu. Gwiazda dróg pod lasem, podrzuca jak tępy nożem na kantach, głębokie, suche mlaśnięcie desek i sunę miętko po łagodnym zboczach, długo, bez końca. Migotliwa chwila wy-

swobodzenia od wszystkiego, co realne.

Deski zwalniają, wpływając na ostatni wierch. Jeszcze jedno osłepiające poślizgnięcie krótkiej stromizny, znów opór i już chrobotanie, podrywy na drogach, rowach, miedzach, zakrętach. Przejmujący jazgot między płotem i rzędem stłoczonych domów, ostatnie odbicie kijkami.

Parę mocnych oddechów i spokój.

Szamocę się przy wyrwaniu upartych butów ze skamieniałego wiązania. Łomot nart stawianych w kącie.

Otumaniony ciepłem izby siadam jak pijany na kanapie, prostuję nogi, zapalam papierosa. Najzwyczajsze nawet pomyslenia zapadają w jakąś senną otchłań.

Nie wiem, czy działo się coś przed chwilą, czy to tylko pęd jakiejś taśmy przywidzeń.

Cisza.

Pulsy biją w skroniach. Głowa ciężko wgnieciona w oparcie. Uczucie nasycenia opada wolno, jak fala wzburzona.

(„Na wielkiej grani“)



# SNOBOLANDU

B.D.I.C

cu i z tego nic nie wyszło, podróż przeszła bez żadnych gwałtów, tylko lunch był nie na poziomie. Wylądowaliśmy szczęśliwie w Maladze i zgodnie z planem, młody człowiek w czerwonej koszuli zamachał mi przed nosem plakatem z napisem „don Pepe“ (pan Pepe). Wiedziałam, że dotarłam do celu i rozsiadłszy się wygodnie w wytwornej limuzynie kazałam Pepe obwieźć się po Maladze. Bo od chwili, kiedy Pepe zabrał moje walizki miałam być milionerką na 6 dni. Ale o tym — potem, najpierw obowiązkowa część opisowa.

Zacnę ją od krótkiej ogólnej uwagi: że piękno można znaleźć wszędzie, jeżeli się chce je widzieć, jeżeli ma się entuzjazm, aby je ocenić i wchłonąć. Bez tego niezbędnego filtra ciekawości i entuzjazmu — szkoda fatygi na podróże, bo piękno jest nie tylko przy wodospadach Niagary czy w starożytnych fortecach, ale nawet za rogiem naszej własnej ulicy. A rzeczy najwspanialsze, najjenniejsze i najpiękniejsze, jeśli precedzimy je przez własną immanentną nudę — zamieniają się w chips with everything.

A, teraz — z don Pepe do Malagi, i dalej — do Marbelli (wymawiaj: Marbeja). Port Śródziemnomorski Malaga to stosunkowo niewielkie — około 400.000 mieszkańców — miasto, znane z dobrych win, suszonych rodzynek i rozbudowującego się przemysłu chemicznego. Tysiąc sześćset lat przed erą chrześcijańską Tyryjczycy, którzy byli potomkami w prostej linii Fenicjan z Libanu, skusili się łagodnym klimatem i żyzną ziemią nadmorskiego pasa, chroniącego przed północnymi wiatrami, niewysokimi ale pięknymi górami Sierra Blanca, i rozbili swoje namioty w trzech miejscowościach: w Maladze, Fuengirola i Marbelli. Pracowici i zdolni kupcy dorobili się ładnie i żeby odstraszyć niepożądanych intruzów zaznaczyli skałę Gibraltaru słowami „Non plus ultra“, czyli „tak daleko i nie dalej“. Nie pomogły im jednak potężne fortece i zamki, i uległy sile

Greków, którzy zajęli Costa del Sol na dwa wieki, aby z kolei ustąpić wielkim tyryjskim wodzom, Hamilkarowi, Hazdrubalowi i Hannibalowi (temu od „ante portas“!). Po zakończeniu Kartaginy i Zamy Rzymianie zajęli Malagę i jej okolice z Marbellą włącznie. Ruiny, mozaiki i resztki tych różnych cywilizacji można je oglądać tam do dzisiaj), stanowią atrakcję dla licznych turystów. Wandale, Wizygoci, Normanie, Arabowie, jedni po drugich budowali, palili, plądrowali, budowali na żyznych ziemiach, które miały okres względnego spokoju podczas arabskiego królowania w Granadzie. Po długotrwałych walkach między muzułmanami a katolikami, które często dla swoich prywatnych celów wykorzystywali piraci i Barberzy z Tunisu i Algieru, Costa del Sol przeszło w ręce katolickich monarchów Hiszpanii. Fortece zbudowane przez Tyryjczyków zburzyły w początku XIX wieku wojska Napoleona, po czym wycofały się do Francji, aby szukać innych pól bitwy. Po różnych innych wojnach, łącznie z cywilną hiszpańską, w styczniu 1937 roku wojska generała Franco usadowiły się na Costa del Sol, aby pozostać tam do dzisiejszego dnia.

Wojny — wojnami, Malaga rosła i rozwijała się, lepkie winogrona zamieniały się w słodkie wino, tanie jak barszcz, słońce i pogoda pozwalały dzieciom rosnąć z uśmiechem na ustach. Obok Malagi — wsie, osady, miasteczka; wąskie uliczki obudowane białymi domkami, na murach w różne wzory ułożone doniczki z kwiatami, patia, ganki, krużganki, żelazne baloniki w przemyślnie wzory, bogate ogrody, z palmami, bananami, przebogata zielenią nakrapiana złotem cytryn i pomarańczowymi kulami pomarańczy. Jeżeli po stromych schodach z obłupanych waziotkowych cegieł wdrapiemy się na szczyt ruin fenickiego fortu — Zamek de Gibraltar — roztoczy się przed nami fantastyczny widok na białą w słońcu Malagę, na przeniebieskie migotliwe morze

w ramach zielonych drzew, upstrzone kolorowymi żaglami i zabawkami okrętów, na pasma liliowo-szarych skalistych gór Sierra Blanca. Podobnie piękne widoki mamy na całym Costą del Sol, którego osiedla połączone są z miastem „najdłuższą w Europie“ nadmorską szosą, wybudowaną przez rząd Caudilla, za pieniądze milionów turystów.

Tak, bo po wielu krwawych inwazjach Costa del Sol tak jak i reszta słonecznej i pięknej Hiszpanii miała w ostatnim 20-leciu inwazję bezkrwawą, pachnącą dolarami, markami niemieckimi i inną walutą, inwazję z całego nieomal wolnego świata. Przyciągnięci początkowo dobrym klimatem i niezwykle niskimi cenami w Hiszpanii, z której miliony ludzi musiało emigrować, czy to ze względów politycznych, czy „dla chleba, panie, dla chleba“, turyści zaczęli napływać ze zbiedzonej i zniszczonej przez II wojnę światową Europę, najpierw w tysiącach, potem w milionach. I nie można się dziwić: każdy pętać mógł się czuć przez 2 czy 4 tygodnie jak król, obsługiwany przez liczną i uprzejmą służbę, w ładnych czy luksusowych hotelach, za które płacił się małą część tego co kosztowały podobne miejsca w ich własnych krajach, wśród pysznej i skąpanej w słońcu natury, z tanim winem, z roztańczonymi w kolorowych falbanach gitanes, seksualnymi, wulgarnymi, bezpośrednio dziećmi natury. Komu chciało się myśleć o polityce, o dyktaturze, o wypełnionych więzieniach, o przymusowych emigrantach, gdy rozparty wygodnie na leżaku człowiek poddawał się zabiegom daskanałych fryzjerów, buty czyścił mu za grosze uśmiechnięty pucybut, a szanbria na stole nadawała wszystkiemu różowe kolory. Nie myśleli, przyjeżdżali, kupowali za grosze skórzane wyroby i ręcznie haftowane obrusy, podziwiali Flamenco i smętne piosenki, a przede wszystkim — zostawiali góry pieniędzy. W ostatnich trzech latach 30 milionów turystów zostawiło tyle miliardów pesetów, że oblicze Hiszpanii zaczyna ulegać radykalnej zmianie. Na złe czy, na dobre, zależy od gustu.

Na prastarych wąskich uliczkach, po których dostojaśnie chodziły

osły, piesi lepią się do murów, aby uniknąć aut i ciężarówek. Obok ślicznych mauretańskich czy andaluzyjskich domków, obok wspaniałych pałaców i wiekowych kościołów — kilkupiętrowe standartowe wieżowce zasłaniają, psują najpiękniejsze widoki. Wszędzie koparki, ruchome krany, w zgrzycie i hałasie budują nowe wieżowce, nowe hotele i szosy, nowe mieszkania dla znużonych miejskim życiem rentierów i bogaczy z całego świata. Nie znajdziesz ciszy nawet nad brzegiem morza, bo nad uspakajającym szumem fal góruje warkot tysięcy motorów, krzyki rozbawionych gości. Strajków nie ma, bo niedozwolone, maniana-jutro, to jeszcze ulubione słowo Hiszpanów, tym niemniej ich dzisiaj pulsuje życiem, ma wszystkie pozory rosnącego dobrobytu, rozwój i postęp — na dobre czy na złe — doszedł do Hiszpanii, zawładnął Hiszpanią, usuwa w coraz głębszy cień „czarne obrazy“ Goyi, cuda starej architektury, a w wielu miejscach — nawet uroki natury. Hiszpańskie otoczenie i hiszpańska psychika amerykańszują się, co dalej? Byk ma duży łeb, niech się martwi!

No, ale wróćmy do Malagi, gdzie zblazowanemu turyście na pewno nie zaimponują ruiny prastarych zamków i fortec, pokazowe jonańskie kolumny na placach, czy biedne Muzeum w malowniczym pałacyku, którego największym skarbem jest kilkanaście rysunków Picassa, gdy miał lat 14. Zaimponuje mu natomiast doskonały turystyczny obiad za 160 pesetów (jeden funt) w pięknej o jeszcze piękniejszym widoku restauracji przy turystycznym hotelu, mieszczącym się tuż obok fortecy Gibraltar, o której pisałam wyżej. Pokrzepieni na duchu i na ciele, w towarzystwie nieocenionego don Pepe, byłego żołnierza hiszpańskiej armii, udaliśmy się w dalszą drogę do Marbelli, która była celem naszej wycieczki.

Kto to don Pepe? Nie, to nie hotel w Marbelli, chociaż jest taki i to jak najbardziej luksusowy. Don Pepe to hiszpański lokaj naszego amerykańskiego przyjaciela, milionera, który zaprosił nas na kilka dni do swojej willi w Marbelli. A Marbella, jak kiedyś Floryda, St. Tro-

pez czy Nicea, to Snoboland w najnowszym wydaniu, jedna z siedzib międzynarodówki milionerów, w której księżna Grace z Monaco flirtuje z Sean O'Connor o wiecznej sławie James Bonda, a Artur Rubinstein czy Jehudi Menuhin odpoczywają na łonie super-cywilizowanej natury. Księżna Alba i księżę Hohenlohe z królewskich rodów mają swoje posiadłości obok Audrey Hepburn i Stanley'a Bakera, nazista z Buenos Aires zainwestował uciulane w Trzecim Reichu miliony w piękny pałacyk, a Mariano Norski, międzynarodowy impresario rodem z Warszawy założył tam sobie aż dwie główne kwatery, z których kieruje ruchami swego baletu „Braziliana“. Harmonijny zespół wielkich nazwisk i jeszcze większych milionów skusił twórcę „Playboya“, p. Heffnera, do zakupienia wielkiej połaci żyznego gruntu w Marbelli, gdzie w najbliższym czasie wybuduje on jeszcze jedną filię swego sławnego klubu, z uroczymi „króliczkami“ po hiszpańsku, kasyno gry i hotel. Księżę Rainier z Monaco do spółki z międzynarodowymi hiszpańskimi finansistami planuje stworzenie wielkiego Ośrodka Zdrowia, szpitala, sanatorium itp. Tenże księżę Rainier z małżonką dokonali przed kilku miesiącami otwarcia „największego na świecie“ — mój przewodnik don Pepe zaraził się od Amerykanów przesadą w gradacji obiektów! — portu dla luksusowych jachtów (dla 850), który można oglądać w całej jego techniczno-morskiej urodzie za jedne 25 pesetów. A „Hotel Golfowy“ szczył się „najlepszym boiskiem do golfa“, a jeżeli nawet nie najlepszym (nie znam się!), to w każdym razie przepięknie położonym w zielonej kotłince, u stóp gór, kilkaset kroków od morza i od tych jachtów. Wielki okrągły budynek na wzgórzu, z czystych czerwonych cegieł, to nowa arena dla walki byków, na 150.000 ludzi plus byki.

Wszyscy wyżej wymienieni milionerzy i artyści oraz wielu innych, których nie wymieniłam, z Ameryki, z Niemiec, z Anglii, Holandii i innych krajów, mają swoje wille. Im wyżej i im dalej od głównej szosy i od miasteczka — tym drożej i eleganciej. Mniej zamożni, przeważnie

rentierzy czy spensjonowani, mieszczą w tzw. developments, w wieżowcach, w których mieszkanie 3-pokojowe kosztuje około miliona pesetów. Jak, np. państwo Bursikowie z Londynu, z którymi zgadałam się popijając kawę z koniakiem w uczęszczanej przez znużonych samotnością kawiarni sportowej w Marbelli.

Wille zbudowane są mniej więcej na jedno kopyto, chociaż każdy milioner stara się, aby gustem, stylem, widokiem czy bogactwem wnętrza przewyższyć sąsiada-milionera. Położone w pięknie zaplanowanych i oświetlonych ogrodach, z olbrzymimi palmami, klombami itp., utrzymane przeważnie w andaluzyjskim stylu, z wdzięcznymi kolumnami zakręglającymi się w malownicze łuki i portale, z patiami, krążgankami i gankami. Wnętrza — jak u kogo, najbardziej ujutne i staroświeckie był u Artura Rubinsteina, z wielkim pianinem przykrytym pokrowcem, bo mistrz bawił właśnie w Izraelu. Skórzane meble, albo Ludwiki, kosztowne obrazy, dywany, i wspaniały widok — z jednej strony na morze, z drugiej na zieleń i góry — służy do uzupełniania dekoracji, zmienne malowidła w ramach wyżej wymienionych portyków, odbijające się podwójnym obrazem w szkle drzwi i okien. Obowiązkowo: dwa lub trzy pokoje z wygodami dla służby oraz wielki basen z trampoliną, z 3 razy dziennie zmienianą wodą, szmaragdową, przeźroczystą, potężnie chlorowaną. Salony, sześć, osiem, dziesięć pokoi sypialnych, każdy z inną łazienką. Mozaiki, rzeźbione drzewo, marmurowe posadzki, no i w ogóle, jak w kino... Aha! jeszcze sztucznie zasadzona trawa, mięciutka jak najpiękniejszy dywan.

Willa, w której mieszkałam, należała do samotnego milionera, członek jet-set, który — tak jak i inni — przyjeżdża do niej na liczone dni z innych swoich rezydencji, jeszcze wspanialszych, w New Yorku, w Londynie, na Florydzie. Willę i jego obsługuje para Hiszpanów z małym dzieckiem i kilku ogrodników. Dwa wielkie auta w garażu służą do jazdy do miasteczka Marbella położonego o pół godziny dro-



# KALEJDOSKOP WŁOSKI

**P**REZYDENT Nixon sprawił duży kłopot komunistom swą ostatnią podróżą śródziemnomorską, w czasie której konferował w Rzymie z prezydentem Republiki Saragatem, a zaraz po tym odleciał do Belgradu na rozmowy z prezydentem Tito. We Włoszech komuniści gwałtownie demonstrowali przeciw Nixonowi i na znak protestu przeciw jego przyjazdowi spalili kilkanaście samochodów, należących do Amerykanów. Natomiast w rządzonej przez komunistów Jugosławii tegoż Nixonu witano nie tylko uprzejmie, ale entuzjastycznie. Ta nie byle jaka różnica w postawie, zajętej wobec prezydenta Nixona przez dwie „bratnie“ partie, była tym bardziej rażąca, że komuniści jugosłowiańscy są od dawna dobrze widziani przez włoskich sztabowców partyjnych. Wprawdzie

Togliatti zgodnie z dyrektywami Stalina głosował w roku 1948-ym za wypędzeniem Tity z kominformu, ale było to jeszcze przed stłumieniem powstania węgierskiego przez sowieckie czołgi i przed najazdem „bratnich“ wojsk Układu Warszawskiego na Czechosłowację.

We włoskiej prasie niekomunistycznej nie omieszkało zwrócić uwagi na karkołomne postępowanie komunistów włoskich, którzy w ostatnich latach nie szczędzili komplementów Belgradowi za niezależność od Kremła, a w czasie wizyty Nixona zachowywali się tak, jakby chcieli pokazać, że towarzysze jugosłowiańscy są — jeśli nie zdrajcami — to co najmniej heretykami i odstępcami. Wnikliwy publicysta Indro Montanelli wytłumaczył zachowanie się komunistów włoskich strachem przed

tzw. „Chińczykami“ tj. komunistami orientującymi się na Pekin, których dywersja na lewym skrzydle coraz bardziej niepokoi dyrekcję z Botteghe Oscure w Rzymie.

Dodam od siebie, że kierownictwo partii ma kłopoty nie tylko z „Chińczykami“. Kto wie czy powodem jeszcze większej troski nie jest akcja niezależnych dysydentów, skupionych wokół miesięcznika Rossany Rossandy, „Il Manifesto“, założonego w czerwcu ubiegłego roku. Ugrupowanie to rozwija ożywiczną działalność pod hasłem „jednoczenia lewicy“ i ma już czterech posłów w parlamencie.

Innym powodem zmartwienia góry partyjnej stało się ostatnio rozbitcie solidarnego do niedawna frontu trzech central związkowych: chrześcijańsko-demokratycznej, komuni-

## REFLEKSJE

gi piechotą, względnie do odwiedzenia (rzadko!) innych posiadaczy sąsiednich willi lub przystani jachtów, gdzie zakotwiczony stoi między innymi jacht „mego“ milionera. Ponieważ mój milioner zna się na jachtach, jak kura na pieprzu, jest on całkowicie pod względem „morskim“ uzależniony od młodego „kapitana“, uroczego młodzieńca, Anglika, który woli kręcić się koło milionerów w dobrym klimacie Marbelli, niż uczyć się w Anglii. Młodzieniec, płatny przez okrągły rok przez kilku właścicieli jachtów, ma tam rajskie życie. Jego ulubioną rozrywką jest łowienie delfinów i innych ryb, a gdy milionerzy przyjeżdżają, zabiera ich na krótką wycieczkę do Tangieru lub Gibraltaru, gdzie rzeczy można kupić jeszcze taniej niż w Hiszpanii, a już na pewno taniej niż w Marbelli, zepsutej przez turystów. Dlaczego więc mój milioner ma jacht, kiedy nie zna się i mógłby za kilkadziesiąt pesetów pojechać codziennie do Tangieru i do Gibraltaru wynajętym statkiem? No, bo obowiązuje konformizm milionerów, identyczny w

zasadzie z konformizmem Smithów, Dulskich czy hippisów.

Już po 24 godzinach pobytu w luksusowej willi doszłam do wniosku, że nie nadaję się na milionerkę. Wygodne życie, owszem, szczególnie ten dzwonek, zręcznie umiejscowiony pod stołem; wyciągnąć nóżkę, a już Marysia-Mercedes, a w moim wypadku — don Pepe, podają świnke w mleku, sherry z lodem, albo zabijają muchę, która przeszkadza w kontemplowaniu raków w specjalnym sosie. Ale, ile już tych świnek i raków można skosztować, żeby sobie nie popsuć żołądka? I jak długo może bawić konwersacja przy ognymym stole ze stojącym na baczność don Pepe? I ile razy dziennie można kąpać się w przyczystym basenie, takim bardzo pustym bez zwyczajnych ludzi, i dzieci, nawet cudzych?

Potykałam się na efektownych schodkach, ślizgałam na marmurowych posadzkach, w labiryncie drzwi i okien, które wyglądały jak drzwi, nie trafiałam do swego pokoju, ciężko dyszałam wchodząc po dekoracyjnych schodach czy po stromej ulicy, która prowadziła do willi, jak najbardziej oddalonej od „pleb-

su“. Nie lubiłam chlorowanej wody prywatnego basenu tak jak nie lubię jej w basenach publicznych, i wcale nie jak milionerka łażałam kamienistą ścieżką do brudnego morza, bo wstydziałam się zbyt często prosić don Pepe, żeby mnie woził; albo nie chciałam mu przeszkadzać w kilkugodzinnej sieście, chociaż powiedział, że jest do tego przyzwyczajony. Krępowałam się nawet prosić o dodatkowy toast, chociaż często po rakach i świnkach marzyłam o kawałku chleba z masłem. No, trudno, ja się do tego nie nadaję.

W konkluzji, po tych sześciu „milionerskich“ dniach, doszłam do wniosku, że właściwie to dzisiaj mało kto nie może sobie pozwolić, żeby nie być na krótszy czy dłuższy okres czasu milionerem. Z tą różnicą, że milioner korzysta z tych wszystkich wygod sam, a szary człowiek dzieli salony i basen i widok i morze i służbę z setkami innych szarych ludzi, takich samych jak ja milionerów na jeden krótki urlop. Zresztą, może byłam po prostu zazdrosna, kto zbada duszy ludzkiej przepastne głębinę...

Mina Tomkiewicz

stycznej i socjalistycznej. Drugiego października komunistyczna centrala zarządziła 2-godzinny strajk powszechny, aby wywrzeć nacisk na władze państwowe i nakłonić je do szybszej realizacji reform w dziedzinie służby zdrowia i budowy tanich mieszkań. Centrale, chrześcijańska i socjalistyczna, które — gdy chodziło o reformy ogólnokrajowe — strajkowały dotąd razem z komunistami, tym razem odmówiły udziału w manifestacji oświadczając, że rozmowy z rządem w tych ważnych sprawach mają przebieg pomyślny. Komuniści znaleźli się w odosobnieniu, a zarządzony przez nich strajk okazał się niewypałem.

\* \* \*

**P**RZEZ całe lato i jesień opinię włoską niepokoiły wiadomości o ciężkich zaburzeniach w Reggio Calabria. Mieszkańcy tego miasta, położonego na południowym krańcu włoskiego buta, nie chcą się pogodzić z faktem, że stolicą regionu kalabryjskiego oraz siedzibą samorządowych władz regionalnych będzie nie ich sławny gród ojczysty, ale konkurencyjne i pogardzane Catanzaro. Tygodnik „Domenica del Corriere“ powierzył zbadanie sprawy jednemu ze znawców zagadnień Południa, dziennikarzowi Giovanni Russo, autorowi książki pt. „Kto ma więcej świętych w maju?“. W dłuższym reportażu autor stwierdził, że „nawet tych, którzy tylko powierzchownie znali warunki ekonomiczne i społeczne Kalabrii, nie powinny zdziwić ostatnie wydarzenia. Wytłumaczenie zaburzeń — pisał Russo — jest bardzo proste. Urzędy publiczne były od wieków i są nadal głównym, jeśli nie jedynym źródłem dochodów małej czy średniej burżuazji Południa. Pośrednio zaś urzędy są także źródłem dochodów dla sfer, które wokół nich się skupiają jak kupcy, rzemieślnicy i rolnicy. Z tej sytuacji, do której dołączają się zawiści lokalne i względy prestiżowe, było tylko jedno wyjście: przekształcenie socjalne i gospodarcze Kalabrii, które zmieniłoby także mentalność i obyczaje. Ale po 20 latach warunki życia w Kalabrii nie poprawiły się. Przeciwnie; szybki postęp reszty kra-

ju pogłębił przepaść, która dzieli dziś Kalabrię nie tylko od Północy, ale nawet od innych regionów Południa. Kalabria jest dziś naszym najbiedniejszym regionem. Z dobrobytu dostała tylko okruchy — konkludował Russo.

Nadmienię w końcu, że zdaniem rządu decyzję o ewentualnym przyznaniu miastu Reggio praw stolicy regionu Kalabrii może powziąć tylko parlament. Tymczasem rozważane są projekty zbudowania w Reggio wielkiej stalowni. Ale czy zaspokoją to urzędnicze ambicje mieszkańców? Czy nie będą oni woleli chodzić do biura, niż pracować przy wielkich piecach? — Oto jest pytanie!

\* \* \*

**W**ŁOCHY — tak jak Szkocja — też mają swe tajemnicze jezioro. Nie ma tam wprawdzie groźnych węży, wywracających łodzie rybackie, ani podejrzanых rusałek. Na dnie jeziora Bracciano na północny-zachód od Rzymu znajdują się natomiast ruiny zatopionego miasta. Wykrył je nie archeolog, ale dyplomowany nurek nazwiskiem Fontana, który na głębokich wodach Bracciano szkolił ekipę adeptów sztuki pływania i myszkowania pod wodą. Z rozmów przeprowadzonych z miejscowymi rybakami Fontana dowiedział się, że gdy wody są spokojne — można dostrzec na dnie jeziora mury zbudowane kiedyś przez człowieka. Fontana zabrał się do wertowania książek i broszur zarówno o jeziorze jak i o moźnej rodzinie Orsinich, których zamek do dziś dnia wznosi się nad brzegiem. Wpa-

dła mu do ręki praca z XVII wieku opata Paolo Bondi. Autor zanotował w niej legendę o zatopionym mieście, lokalizując dokładnie rejon, z którego widać ruiny. Pisał też, że z daniem okolicznej ludności w jasne noce księżycowe słychać dzwony podwodnego kościoła. Nurkowie nie znaleźli legendarnej świątyni, ale na głębokości 50 metrów, trzymając się wskazówek topograficznych opata Bondi, natknęli się na 5 murów. Zmierzyli ich wysokość i szerokość, sporządzili szkic i wydobyliby na powierzchnię kilka kamieni i cegieł, po czym zawieźli zdobycz do urzędu ochrony zabytków starożytnych w Rzymie. Uczni szczercze oświadczyli, że nigdy jeszcze nie widzieli takich elementów budowlanych, jakie im przywieziono z jeziora Bracciano. Powiedzieli też, że mury podwodne przypominają pod względem techniki budowlanej budowle z Mezopotamii sprzed 5 tysięcy lat! Sprawę zainteresowali się także uczeni z instytutu geologicznego. Oświadczyli oni, że — jak wykazały najnowsze badania — jezioro nie jest pochodzenia wulkanicznego i że nic nie wskazuje, by była tam kiedyś dolina zamieszkała przez ludzi. —

Gdy wiadomość ta dotarła nad brzegi jeziora wśród rybaków rozszalała się jeszcze jedna legenda. Jezeli — powiadają — na dnie nigdy nie mógł mieszkać człowiek, to znaczy, że miasto zbudowali Marsjanie. Widocznie byli istotami ziemno-wodnymi i za dnia baraszkowali po lasach bawiąc się być może w chowanego, a w nocy sli spać pod wodę.

Feliks Chrzanowski

GRYF PUBLICATIONS LTD.

**PORADNIK**

DLA WYCHOWAWCZYŃ PRZEDSZKOLI

*Opracowanie Zrzeszenia Nauczycielstwa Polskiego  
Zagranicą*

KSIAZKA NIEZBEDNA W REKACH KAZDEGO NAUCZYCIELA  
POLSKICH SZKOL SOBOTNICH

*Do nabycia:*

Cena: 10/-

KSIEGARNIA S.P.K. — 20, Queens Gate Terrace,  
LONDON, S.W.7.



# SPOTKANIE Z LUBA

Poniżej zamieszczamy fragment ze świeżo wydanej przez firmę George Allen and Unwin książki Eugenii Wasilewskiej SILVER MADONNA.

\* \* \*

17-letnia Eugenia, córka ziemianina urodzona i wychowana na pograniczu Polski i Sowieców została wraz z bratem i jego żoną wywieziona do Rosji wczesną wiosną 1940 roku. Po długiej podróży w bydłym wagonie wyrzucono ją wraz z towarzyszkami niedoli na stepach kirgiskich, na tak zwane „wolne osiedlenie“.

Pełne nieznanych dotychczas warunków, beznadziejność życia, skłaniając młodą dziewczynę do szukania ratunku w ucieczce. Małżeństwo z Kazimierzem Wasilewskim przyniosło tylko rozczarowanie i szybkie rozejście się z mężem, a myśl o dziecku, które miało się narodzić w tych warunkach skłoniła Eugenię, która znalazła powiernicę i pomocnicę w starszej o kilka lat Guni, żonie polskiego oficera — do podjęcia długich i ostrożnych przygotowań. W dniu 2 maja 1941 roku Eugenia wraz z Gunią uciekają z kirgiskiego przysiółka i jadąc często zmieniającymi pociągami lub wędrując uciążliwie piechotą, nocując w lasach, docierają jednak w pobliże dawnej granicy polskiej. Niemal na progu kraju rodzinnego zostają aresztowane w Sławucie, przekazane N.K.W.D. i po przesłuchaniu wysłane wraz z innymi więźniami ciężarowym samochodem do Szepietówki. Po katordze „wolnej zsyłki“ miały się z koleżankami zapoznać z sowieckim więzieniem...

MOŻE 20 lub 30 mil tłuśliśmy się po drodze aż przyjechaliśmy do miasteczka i zatrzymaliśmy przed stacją kolejową. Przeczytałam nazwę na murze; byliśmy znowu w Szepietówce.

Kazano nam zejść z lory i wejść na stację, gdzie już czekał pociąg wypełniony więźniami. Wszystkie okna były zabite a wagony podzielone na małe przedziały ze strzeżonymi drzwiami prowadzącymi do każdego. Uchyłono jedno z nich i kazano pięciu kobietom, w tym mnie i Guni wejść do środka. Ale nikt z nas nie mógł przez drzwi się prze-

cisnąć. Z wnętrza wozu dochodziły ogłuszające krzyki i wrzaski, duży kawał chleba wyleciał zza drzwi i ugodził w twarz strażnika, który usiłował nas wepchnąć. Piekło się rozpetało, ale słyszałam jak strażnik krzyczał: „Ta kobieta jest szalona, nic dziwnego, że w żadnym więzieniu nie chcą jej trzymać!“ Wreszcie wepchnięto siedem z nas i drzwi za nami zatrzaśnięto, ale krzyki trwały jeszcze dobrą chwilę zanim zdołałam się zorientować kto je wydawał. Dziewczyna mogła mieć około 25 lat, nie więcej niż 5 stóp wzrostu, miała krótkie jasne włosy i twarz pokrytą piegami. Jej głos był najbardziej donośny jaki zdarzyło mi się słyszeć.

Usiadłyśmy na twardych ławkach, pociąg ruszył, piegowata nareszcie przestała krzyczeć i siadła w swoim kącie. Patrzyła na nas wyzywająco a kiedy nikt się nie odezwał, wrzasnęła nagle: „Poco przyszyście tutaj i zabieracie tę odrobinę świeżego powietrza, które pozostało?“ Nikt nie odpowiedział, nie miałyśmy odwagi i dopiero Stefania zaczęła się śmiać; piegowatej widocznie furia także przeszła, gdyż po kilku sekundach i ona zaczęła chichotać. Później śmiech ogarnął wszystkich z wyjątkiem kobiety w siwej chustce; nie nie mogło pobudzić jej do śmiechu, rzadko kiedy można było słowo od niej usłyszeć.

Nie wiedzieliśmy dokąd jedziemy i jaki los nam przypadnie, ale piegowata potrafiła rozładować trochę napięcie więc skorzystałyśmy ze sposobności do śmiechu. Wkrótce zaczęła nas wypytywać skąd która z nas pochodzi i wtedy usłyszałyśmy jej dzieje. Nazywała się Luba i była oskarżona o kradzież pary butów u... brata, przestępstwo, które mogło spowodować karę miesiąca lub dwóch aresztu. Luba jednak przebyła już 11 miesięcy w więzieniu oczekując procesu; jej brat został zarekutowany na pracę do Besarabii, części Rumunii okupowanej przez Rosjan i nie można go było odszukać i przesłuchać. A ponieważ Luba nie mogła czekać w więzieniu dłużej

niż 3 miesiące, więc przenoszono ją z jednej miejscowości do drugiej. Nic dziwnego, że krzyczała i rzucała co miała pod ręką w strażników; długi pobyt w więzieniu stopniowo ujemnie działał na jej władze umysłowe. Każdy strażnik znał ją i obawiał się znaleźć blisko niej. Luba pozwalała sobie na takie rzeczy, które pociągały surowe kary, ale pozostawiano ją w spokoju.

Z nadejściem dnia spotrzegliśmy, że jedziemy w kierunku południowym, od czasu do czasu pociąg zatrzymywał się w polu, cofał się, a następnie ruszał znowu naprzód. Z okrzyków, które słyszałyśmy było widoczne, że zapełniali go więźniowie, mężczyźni i kobiety. I głodni byli podobnie jak my; miałyśmy tylko po kawałku chleba otrzymanego poprzedniego wieczoru.

W pewnym momencie zaczęłam walić pięściami w drzwi żądając wypuszczenia do ustępu w nadziei, że może uda się uciec. Okazało się jednak, że drzwi nie były zamknięte, tylko strażnik stał zewnątrz a małe okna były zakratowane. Odprowadzono mnie z powrotem do przedziału, a mnie odeszła chęć ucieczki tylko głód dokuczał coraz bardziej.

Nadeszła noc, ale nam nie dano pożywienia, daremnie stukaliśmy do drzwi i krzyczały, nic nie pomogło. Dowiedzieliśmy się natomiast, że wieziono nas do więzienia w Kamieńcu Podolskim o 150 mil na południe od Szepietówki. Ale linia kolejowa była przerwana, wobec czego skierowano nas do Płoskirowa, mniej więcej w połowie drogi. Ale tam także nie było dla nas jedzenia w pociągu. Musiałyśmy czekać...

Przez całą noc pociąg to jechał to zatrzymywał się, a ja nie mogłam zasnąć z powodu głodu i pragnienia. Było już jasno, około 6 godziny następnego dnia, kiedy dojechaliśmy do końcowej stacji. Słyszając krzyki na zewnątrz, wyjrzałam i zobaczyłam stację, ale nie miasto; otaczały nas tylko pola i lasy.

Wagony otwierano jeden po drugim i kazano nam wychodzić i ustawić się w szeregu twarzą do wej-

ścia na stację. Przede mną było około 30 kobiet, kilka za mną, gdzieś w tyle maszerowali mężczyźni, ale nie mogłam zobaczyć ilu ich było. Strażnicy NKWD już na nas czekali i padł rozkaz pochodu. Wyruszyliśmy ze stacji, kolumna posuwała się wolno wzdłuż wysadzanej drzewami nie dokończonej szosy, pełnej dużych wybojów i grząskiego błota.

Maszerowałyśmy tak około godziny, gdy nagle ujrzałam polskie mundury. Dziesiątki jeńców polskich pracowało po obu stronach szosy a my pozdrawiałyśmy ich przechodząc. Pytali nas dokąd idziemy, a ja odkrzyknęłam: „Z Syberii dokąd zesłano wasze rodziny“. Rozległy się krzyki oburzenia i gwizdy, strażnicy wywijali karabinami nawołując do porządku a nam każąc przechodzić szybciej. Usłyszałam za sobą płacz Stefanii i żony oficera; one wiedziały, że ojciec jednej a mąż drugiej byli jeńcami podobnie jak ci, których mijaliśmy. Tempo marszu przyspieszono, tak, że prawie biegiem przepędzono nas obok polskich żołnierzy, których okrzyki rozplynęły się w przestrzeni.

O godzinie ósmej weszłyśmy do Płoskirowa. Kiedy przechodziłyśmy przez centrum miasta spoglądali na nas ludzie z wystraszonym wyrazem twarzy. Zatrzymano nas przed frontem trzypiętrowego budynku o białych ścianach; spojrzałam: okna były zakratowane lub zasłonięte okiennicami. Przeszłyśmy przez ogromną bramę, przeliczono nas, a następnie przeprowadzono mężczyzn na lewą stronę dziedzińca. Ja wraz z innymi kobietami znalazłam się w dużej, pustej izbie o bielonych ścianach. Był dzień 24 maja.

Na środku izby stała kobieta w średnim wieku, ubrana w długi biały płaszcz i oglądała każdą z nas kiedy przechodziłyśmy przez drzwi. Nagle dostrzegła Lubę i zaczęła wołać strażnika, a równocześnie rozwrzeszczała się Luba. Znowu rozpełtało się piekło: „Jeżeli ona znowu tu przyjdzie — to ja odejdę. Nie mogę jej znieść dłużej“. Luba śmiała się i krzyczała jeszcze głośniejszym głosem: „Jeżeli ona znowu tu przyjdzie — to ja odejdę. Nie mogę jej znieść dłużej“. Luba śmiała się i krzyczała jeszcze głośniejszym głosem: „Jeżeli ona znowu tu przyjdzie — to ja odejdę. Nie mogę jej znieść dłużej“. Luba śmiała się i krzyczała jeszcze głośniejszym głosem: „Jeżeli ona znowu tu przyjdzie — to ja odejdę. Nie mogę jej znieść dłużej“.

nie ma. Kobieta zakłęła i wyszła, a Luba wreszcie się uspokoiła.

Z jednego okna mogłam zobaczyć duże podwórze, jakby plac do ćwiczeń. To było — jak się później przekonałam — nasze miejsce do przechadzki; w najdalszym zakątku była wartownia, skąd uzbrojeni strażnicy wychodzili i paradowali dookoła tuż obok więzienia. Luba przepchała się do okna i zaczęła nawoływać strażników po nazwisku, znała wszystkich. Niektórzy zaczęli się śmiać na widok piegowatej. Ale Luba wiedziała co robi, zaczęła znowu wrzeszczeć tak głośno, że śmiech strażników ustał.

Luba, oczywiście, знаła procedurę postępowania z nowo przybyłymi i kazała nam pilnie słuchać tego co powie:

— „Mamy bardzo mało czasu, jeżeli macie coś co chcielibyście zatrzymać — musicie to ukryć teraz, gdyż wkrótce zabiorą wam wszystko co posiadacie: wstążki, sznurowadła do obuwia, pieniądze, biżuterię, żyłki i wszystko co tylko będą mogli znaleźć.

Zastanawiałyśmy się w jaki sposób ukryć nasze rzeczy, ale Luba miała odpowiedź na pytania.

— „Zaszyjcie pod podszewkę sukienek“ — a kiedy pytałyśmy jak to zrobić, Luba znowu znalazła radę. Podeszła do żelaznego piecyka w kącie izby i zaczęła z niego wydobywać papiery, później wyciągnęła starą pończochę, w której były ukryte trzy igły.

Zaczełyśmy szybko troczyć nici z pończochy. Pod podszewką płaszcza, na ramionach schowałam zegarek matki i kilka broszek. To samo miałam zrobić ze złotym pierścieniem z rubinem i diamentami, ale Luba powstrzymała mnie:

— „Zaszyj pierścionek pod guzikiem — oni rzadko tam zagląдают“. Zrobiłam tak jakkolwiek wiedziałam, że ślad nici z pończochy będzie widoczny, ale to była jedyna szansa. Jedną po drugiej ukryłam wszystkie kosztowności w płaszczu i sukience z wyjątkiem srebrnej Madonny. Przerazenie mnie oganeło; plakietka była za duża i musiała być znaleziona w płaszczu. Gdzie znaleźć inny schowek? — nie widziałam żadnego.

Luba jeszcze raz przyszła mi z pomocą. Spojrzała na Madonnę w moich rękach a później na moje buty. — „Nowe czy stare?“ — zapytała. Podniosłam nogę, aby pokazać sfatygowane zelówki. — „Dobrze, ukryjemy tutaj“. Pożyczyłyśmy od innej kobiety scyzoryk i z pomocą Luby udało mi się oddzielić zelówkę od podeszwy i tam wsunąć plakietkę. Tupałam następnie nogą o podeszwę tak długo, aż gwoździe weszły znowu na dawne miejsce i nie było śladu. Gunia ukryła większość swoich drobiazgów w płaszczu, ale ciągle jeszcze miała 300 rubli. Widząc jednak jak ukryłam Madonnę i ona podważyła zelówkę i schowała pieniądze nie pozostawiając śladu.

Z pieniędzy, z którymi zaczynałam wędrówkę pozostało mi już tylko 50 rubli i Luba mi poradziła, że lepiej będzie oddać je za pokwitowaniem; wprawdzie nie można było mieć pieniędzy, ale można było raz w miesiącu brać na kredyt ze sklepu więziennego chleb, sól, tłuszcze, grzebyki.

Pozostawiono nas w spokoju przez dwie godziny, wszystkie kobiety szły gorączkowo. Wszystko już było schowane, gdy weszła kobieta biała ubrana, wysoka, tęga, jak mężczyzna i kazała nam oddać wszystko co która miała za wyjątkiem odzieży. Wiele niewiast składało różne rzeczy, ale ja, wiedząc, że niemal wszystko udało mi się zaszyć, oddałam jej 50 rubli i broszkę, która była zbyt trudna do ukrycia. Otrzymałam pokwitowanie, ale broszki nigdy nie odzyskałam. Gunia oddała zegarek męża, ale zatrzymała małą książeczkę do nabożeństwa, pamiątkę pierwszej Komunii.

Kolejno przeszłyśmy wszystkie przez jej ręce, więc powiedziała. — „A teraz wykapiemy was“. Otworzyła drzwi i wyprowadziła nas na duży dziedzińiec. Rozglądając się dookoła pa murach, ale nie było żadnej możliwości ucieczki, mur był wysoki około 30 stóp i z zewnątrz nie widać było z nim drzew. W oknach na przeciwnym krańcu podwórza widać było więźniów patrzących na nas z okien i strażę patrolujące wzdłuż więzienia. Przez furtkę w murze wprowadzono nas na inne mniejsze podwórze i ustawiono pod ścianą



niskiego białego budynku. Usłyszaliśmy polecenie: „Rozbierać się, rzeczy zostawić zewnątrz“. Musiałymy się rozebrać, a ja dostrzegłam jak strażnicy zaglądali przez furtkę oddaloną tylko o 15 jardów oczekując chwili, kiedy będą mogli dorwać się do naszych ubrań i zacząć rewizję.

Wewnątrz budynku były natryski, czyli po prostu rury z otworami. Każda z nas otrzymała kawałek zielonego mydła, a następnie dziesiątkami kazano nam stawać pod rurami i po raz pierwszy od więcej niż roku czułam ciepły strumień wody spływający po mnie. Było to bardzo przyjemne uczucie, ale po dwóch minutach kazano nam zrobić miejsce dla następnej dziesiątki. Następnie kobieta w bieli przeszła przed naszym szeregiem z wiadrem, zatrzymując się przed każdą po kolei, zanurzała blaszankę we wiadrze i wylewała żółtą ciecz na głowy. Moje włosy sięgały teraz do pasa, więc wylała mi na głowę dwie blaszanki i wcierała aż do bólu. Płyn dostał się do oczu, które mnie później bolały, w ustach także miałam tę obrzydliwość o smaku octu.

Oglądałam się dokoła czym mogłabym się wytrzeć, ale strażniczka poleciła nam wejść do następnej pobielonej izby, gdzie było tak gorąco jak w piecu. Obeschłyśmy w ciągu kilku minut. W kącie izby były znowu drzwi, otwarto je i buchnął żar jak z pieca hutniczego parząc mi skórę. To był piec a koło niego w ogromnych stosach leżało nasze odzienie. Sępy z sąsiedniego pokoju skończyły już obszukiwanie i teraz nasza odzież podlegała „prażeniu“, aby zniszczyć wszelkie insekty w niej zdomowione. Kiedy się nieco ochłodziło, wyciągnięto nasze rzeczy pozostawiając nam pracę sortowania. Szybko przesunęłam palcami po podszewce mego płaszcza i... serce we mnie zamarło. Niemal wszystkie kosztowności wykryto i zabrano. Nie straciłam jednak wszystkiego. Pierścienek matki pozostał zaszyty pod guzikiem, nie zabrano również kilku drobniejszych rzeczy takich, jak kolczyki. I ocalała także Madonna, która długo jeszcze musiała pozostać w schowku. Na razie odetchnęłam z ulgą.

Guni również dopisało szczęście,

nie znaleziono pieniędzy ukrytych w bucie.

Nie było wiele czasu do wymiany wrażeń, wyprowadzono nas bowiem na dziedziniec „przechadzkowy“ a następnie przez bramę do wysokiego budynku. Ściany były czyste, świeżo białe, schody kamienne czysto umyte. Na drugim piętrze stał strażnik z długim spisem w rękę; pierwsze drzwi w korytarzu były uchylone. Wywołał Gunię i wepchnął ją razem z Stefanią i żoną oficera. Uświadomiłam sobie, że po raz pierwszy od czasu aresztowania rozdzielono mnie z Gunią i nie będziemy mogły obmyśleć naszej obrony. Gunia nie miała czasu nie tylko przemówić, ale nawet rozejrzeć się dokoła, tak szybko drzwi się za nią zamknęły. Od tego czasu widywałam ją tylko kilka minut dziennie kiedy wypuszczano nas na spacer.

Tymczasem prowadzono nas w głąb korytarza i zatrzymano przed innymi drzwiami. Tym razem wywołano moje nazwisko; odetchnęłam z ulgą i radością, kiedy następną na liście znalazła się Luba. Znalazłam ją krótki czas, ale wyczułam w niej przyjaciółkę, bo chociaż jej zachowanie było czasem dziwne, ale miała dobre serce i pomagała. Wywołano jeszcze kilka nazwisk, drzwi otwariły się, pchnięto mnie od tyłu, drzwi uderzyły mnie w plecy przed zatrzaśnięciem. Znalazło się nas osiem stłoczonych w celi, w której już przedtem było ponad 60 kobiet.

Spojrzałam dokoła na pobielone ściany, na wysoko sklepiony sufit i umytą drewnianą podłogę. Wysoko w ścianie były dwa małe okna, przysłonięte deskami przez które można było widzieć kawałeczek horyzontu, ale nic więcej. W najdalszym kącie było drewniane przepierzenie a pod nim drewniana beczka z pokrywą, która służyła jako ustęp dla wszystkich. Smród był nieznośny.

Ciężkie drewniane drzwi z „judaszem“ dla strażnika, dalej, wzdłuż tej samej ściany, blisko drzwi, był drugi judasz wycięty w cegle. Uwięzione siedziały wzdłuż ścian, mała gromadka gnieździła się w środku celi opierając plecy o plecy. Chcąc się poruszać w tym pomieszczeniu trzeba było przestępować przez nogi

wzdłuż „ścieżki“ jaka była pomiędzy siedzącymi wzdłuż ścian i na środku. Obok każdej kobiety było umieszczone zawiniątko tak, że musiałam dobrze uważać, aby się nie potknąć. Znalazłam wreszcie dla siebie miejsce na podłodze pomiędzy dwiema starszuskami. Usłyszałam śmiech wokoło mnie i przez moment sądziłam, że to z mojej przyczyny. Okazało się jednak, że wiele kobiet poznało Lubę, gdyż siedziała już ona dawniej w tej celi i wkrótce zaczęło się wypytywanie o nowiny z innych więzień, a Luba długi czas bawiła otoczenie swoimi anegdotami wywołując głośny śmiech, tak że strażnicy zaczęli stukać do drzwi. Czasem i ja się śmiałam, ale teraz dręczył mnie ciężki ból żołądka, gdyż nie jadłam nic od dwóch dni prócz ćwiartki chleba otrzymanej w Sławucie.

Nikt słowem nie odezwał się do mnie, stopniowo jednak sama zaczynałam się orientować, że były trzy kategorie kobiet w celi. Wzdłuż ścian pod oknami, było sześć sienników czyli worków wypełnionych butwiejącą słomą, siedziały na nich młode kobiety około trzydziestki, dalej pod ścianami rozłożyły się stare, a na środku mieszanka starych i młodych. Od razu zauważyłam ostry podział wśród siedzących po obu stronach. Młodsze nie miały chustek na głowach i te nie zwróciły uwagi ani na mnie ani na dwie inne spośród nowo przybyłych, natomiast niektóre ze starszych patrzyły jakby ze zdziwieniem w jaki sposób znalazły się wśród nich. Spojrzałam na twarze siedzących najbliższej drzwi: jedna musiała mieć chyba powyżej 80-ciu lat, druga była blada i przeziębienie wychudła, a trzecia miała jakiś okrutny grymas kiedy na mnie patrzyła. Na samym środku tej linii podziału siedziało ogromne babsko; wyobraziłam ją sobie jako księżnę z jej zachowania i tonu w jakim wydawała polecenia dokoła, gdzie kto ma siedzieć.

z angielskiego przełożył  
Ludwik Bojczuk

**Czy jesteś  
członkiem SPK?**

## RYCERZ ZE SKAZĄ

LONDYŃSKI, emigracyjny sukces „Pana Wołodyjowskiego“ jest sprawą przesądzoną. Nawet napaściwie złośliwe recenzje nie zdołałyby rozpedzić polskich kolejek sprzed małego kina Paris-Pullman na Kensingtonie. Zwalnia to więc z obowiązku — narzucanego przez dobrze czy źle pojętą lojalność narodową — stosowania wobec tego filmu taryfy ulgowej.

Filmowy „Pan Wołodyjowski“ nie podróżuje zbyt dobrze. Oglądanie go wraz z obcą publicznością niezżytą z postaciami i wątkami sienkiewiczowskiej Trylogii, jest zabiegiem znakomicie trzeźwiącym. Bo też ten polski super-gigant, zrealizowany ogromnym wysiłkiem kinematografii nie przystosowanej przecież do pracy na taką skalę, nie miał być w swym założeniu produktem eksportowym. Chodziło raczej o przetarcie drogi do własnego, krajowego odbiorcy, do którego rodzima produkcja o czysto rozrywkowych ambicjach trafia wcale niełatwo.

„Krzyżacy“ w reżyserii Aleksandra Forda stali się największym sukcesem kasowym powojennej polskiej kinematografii — a więc i argumentem na rzecz dalszej eksploatacji sienkiewiczowskiej żyły złota. „Pan Wołodyjowski“ Jerzego Hoffmana otrzymał budżet jeszcze wyższy — mimo stosunkowo skąpych w Polsce honorariów artystów i służącego chyba postanowienia, by wszystko, co tylko można, realizować w plenerach i wnętrzach naturalnych. Niektóre sceny kręcono w komnatach i ogrodach przepięknie odnowionego rensansowego zamku na Pieskowej Skale pod Ojcowem; rolę stepów na południowo-wschodnich rubieżach Rzeczypospolitej pełniły, między innymi, pola województwa Koszalińskiego na Ziemiach Zachodnich, łączące się w filmie bez oporu z plenerami nakręconymi na Krymie; porwanie Basi przez Azję i jej ucieczkę przed tatarskim pościgiem zrealizowano w Bieszczadach. Ale stаницы chreptiowskiej, ani kamienieckiej twierdzy w stanie

gotowym znaleźć się nie dało. Chreptiów wyrósł więc w Bieszczadach. Budulca — grubo ciosanych, surowych bał na ostropek, most zwodzony, żurawie studienne, kuźnię, dom Pułkownika itd. — dostarczyły okoliczne lasy. W kieleckim, pod Chęcunami wybudowano Kamieniec (zwiad, na Ukrainie, w autentycznym miejscu akcji, wykazał całkowitą filmową nieprzydatność dzisiejszego Kamieńca), wykorzystując ruiny zamku, dominujące z wyniosłego wzgórza nad całą okolicą. Była to dekoracja na skalę amerykańską, z murami obronnymi miasta, bastionami, basztami, dolnym i górnym zamkiem — największa tego rodzaju praca w dziejach polskiej kinematografii. Gotową twierdzę szturmowało 3.000 statystów, a stąd państwowe ogołocoło z rasowych wierzchołków.

Jeżeli przenieść na grunt Polski Ludowej starą zasadę z Hollywood, i przyjąć, że każda zainwestowana złotówka musi być jakoś na ekranie widoczna, w „Panu Wołodyjowskim“ pieniądze nie zostały zmarnowane. Jest to rzeczywiście spektakl na wielką skalę, o rozległych perspektywach, bogatej i ładnej oprawie plastycznej. Barwne zdjęcia Jerzego Lipmana utrzymane na ogół w tonacjach ciepłych, w ujęciach plenerowych, a już szczególnie w scenach akcji, dążą do monumentalności efektów, nie przekraczając zresztą nigdy granic dobrego smaku. Manierystyczne gusty tamtej epoki malowane są z rozsądnym umiarem. Hoffman jest filmowcem rozmiłowanym w historii, i jego pietyzm uwidacznia się np. w imponującej i na pewno autentycznej mnogości uzbrojenia obrońców Kamieńca: są tam „jaszczurówki, ordynki, damascentki, muszkiety lontowe i kołowe, arkebuzy, hakownice, pistolety, maźnice, organki i opłotki, piki, forkiety, szpontony, czekany, nadziaki, obuchy, rohatyny.

Natomiast znacznie gorzej jest z różnorodnością sienkiewiczowskiej galerii postaci i z adaptacją wątków powieści. Zadanie — przyznaj-

my — nie było łatwe. Specyfika polskiego odbiorcy, jego egzaltowany stosunek do bohaterów Trylogii, zastawia na śmiałka mnóstwo kuszących pułapek. Hoffman (i jego współ-scenarzysta, Jerzy Lutowski) ich nie omija; wpada w nie chyba rozmyślnie — jeżeli nie skwapliwie. Ten „Pan Wołodyjowski“ nie stał się wizją sugestywną, spoiwą i mocną, jaką stworzyć jedynie może wyobraźnia indywidualna i śmiała, karmiąca się wrażliwością własną; odsyła nas za to film do wyobraźni ludowej, w jej najbardziej szerokich, rozlewnych aspektach. Ktoś, kto nie tylko przeczytał Trylogię, ale wrócił do niej razy 20 — jak się to często przecież zdarza wśród polskiej inteligencji — musiał zatracić obiektywny dystans w stosunku do jej postaci. Pan Michał, Kmicic, Zagłoba, to już nawet nie znajomi, nie przyjaciele, a członkowie rodzinnego kościoła, cienie wyidealizowanych i umiłowanych przodków. Od nich chcemy pochodzić i — w swoich zbiorowych, sumujących się marzeniach — od nich pochodzimy. Tu właśnie leży pułapka. O ileż bowiem łatwiej i — pod wielu nieartystycznymi względami — korzystniej jest odwołać widza do gotowego rezerwuaru rzewnych uczuć, niż wysiłkiem własnej wyobraźni szukać dla „Pana Wołodyjowskiego“ świeżego, filmowego kształtu.

Jerzy Hoffman kokietuje sentymenty polskiego odbiorcy na różne sposoby, poczynając od kryteriów jakimi się kierował wybierając wątki powieści. Skrótby były nieuniknione: cały „Pan Wołodyjowski“ na ekranie by nie „się zmieścił“. Ale — choć Pan Michał miał być bohaterem pozytywnym, wzorem ofiarnego patrioty, uosobieniem cnót obywatelskich — nie ma w tym filmie prawie żywego tła, rysunku problemów i konfliktów epoki, które cnotom pułkownika nadałyby jakieś konkretne wymiary. Nie ma zjadliwego warcholstwa i głupoty szlachty, egoizmu magnatów, intryganckich rozgrywek o koronę zdjętą



przez Jana Kazimierza. Sens ostatecznej ofiary Wołodyjowskiego pozostaje intymnym sekretem pomiędzy twórcami filmu i ich neo-sienkiewiczowskim polskim odbiorcą. Intryz — np., Brytyjczyk, bo Polaka, który nigdy z Sienkiewiczem się nie zetknął nawet hipotetycznie wyobrazić sobie trudno — na próżno się głowi, z jakich to głębszych motywów Pan Michał wysadził siebie w powietrze i dlaczego ten czyn wielbić nam każą?

Pozostały za to w filmie prawie wszystkie sceny „ulubione“ — takie, w których bohaterowie działają pod dyktando serca wiernych czytelników. Nieraz chodzi wyraźnie o to, by dać satysfakcję „Czytelnikom“, pokazać to, czego pragną, raczej niż szukać w owych scenach materiału do starannej charakteryzacji postaci. Widać to w dramaturgii, w rodzaju emfazy jaką niesie ustawienie kamery, widać najostrzej chyba w aktorstwie. Weźmy przykład Zagłoby w kreacji Mieczysława Pawlikowskiego. W akcji filmu pełni on rolę całkowicie drugoplanową i tylko sentyment do postaci tłumaczy natarczywość z jaką się ją nam przedstawia. Aktor gra cały czas „pod publiczke“, z teatralną szarżą, jakby uprzedzał reakcję widza, ciesząc się sam z siebie. Jest to kreacja w stylu: „Patrzcie, patrzcie! Tusza odpowiednia, bielmo na oku, śmieszny taki — Zagłoba sum, we własnej osobie“. Obiektywnie biorąc, tego typu operetkowe i kokieteryjne aktorstwo całkowicie niszczy wiarygodność postaci i jej „vis comica“ — chociaż w „Panu Wołodyjowskim“ komizm Zagłoby jest już i tak wartością dość umowną. Sylwetkę tak ekspansywną, w samym założeniu teatralną, należy, oczywiście, grać pod włos, dławiąc jej ekscesy; może nawet jako złośliwego ponuraka, ukrywającego swoje prawdziwe sentymenty.

Cóż tu jednak zgłaszać pretensje do Mieczysława Pawlikowskiego, nie imponującego aktorską techniką, skoro sam Tadeusz Łomnicki, bez wątpienia aktor wybitny, o ogromnych umiejętnościach, kreując rolę tytułową wpada, na mniejszą skalę, w podobną manierę. Śmieszności Pułkownika, jak owo ner-

wowe ruszanie wąsikiem, nie są zupełnie w tej postaci zintegrowane i nic o niej nie mówią. Istnieją niejako autonomicznie, na zamówienie widza.

Najwyraźniej winę główną ponosi tu reżyser. Z bohaterów Trylogii Pan Michał jest na pewno najbardziej ludzkim i współczesnym — człowiekiem poważnym i szlachetnym pomimo swych rozlicznych i jaskrawych słabości. U Hoffmana — tak jak i w wyobraźni egzaltowanego polskiego widza — stosunek tych kontrastów zostaje jakoś wypaczony. Pan Wołodyjowski staje się rycerzem właściwie bez skazy, według minionych soc-realistycznych wzorów z jedynie marginalnymi, zupełnie nieistotnymi śmiesznościami. Weźmy scenę podwójnych zaręczyn, gdzie Pan Michał oddaje Ketlingowi Krzysię. Jest, doprawdy, zastanawiające jak twórca dzisiejszy, człowiek wcale nie naiwny, może nie dostrzec jaskrawej moralnej dwuznaczności w zachowaniu Wołodyjowskiego. Przychodzi on przepelniony „self-pity“, żałuje przede wszystkim siebie, nie utraty Krzysia. Swoją szlachetny gest inscenizuje jako publiczną scenę, dopraszając się litości i podziwu. Długą, żałosliwą i moralizatorską perorę kończy: — „Dola moja winna, nikt więcej, bo to już widać palec boży w tym, bym ja w sieroctwie pozostał... No, zmogłem się! Zmogłem!...“ I dalej: — „Daj ci Boże, Krzysiu, szczęście z Ketlingiem!... Mnie trocha boli, ale to nic... Daj ci Boże...“ Po czym wychodząc, rzekomo na modlitwę, widzi płaczącą Basię i sam zaczyna lać łzy nad własnym losem. By nie było żadnych wątpiwości o co chodzi, w sekundy później, znajdując Basię w swoich ramionach, oświadcza się o jej rękę. Jerzy Hoffman bierze jednak Wołodyjowskiego dosłownie, i filmuje całą scenę w płaskim, konwencjonalnie teatralnym układzie, bez żadnych podtekstów. Wypadają tylko łzy Pułkownika, które widać w takiej konwencji nie chciały się zmieścić.

Jest to, niestety, scena dla filmu charakterystyczna. Hoffman zbiera znaczenia z samej powierzchni książki, nie umie — lub raczej nie chce — drażyć pod sienkiewiczowską

frazeologią. Dla polskiego widza — sądząc po niezmiernym, krajowym sukcesie „Pana Wołodyjowskiego“ — to wystarczy, a może nawet tak jest lepiej. Ale widz sceptyczny, wytrzeźwiony, odnieść musi wrażenie, aż żenującej dziecinady. Papierowe, nie nie znaczące postacie prowadzą ze sobą jakąś naiwną, choć nie bardzo zrozumiałą grę na miny w monumentalnej, chwilami urzekająco pięknej scenerii. Kilka tylko scen i parę kreacji wskazuje, że kołaczą się gdzieś w tym filmie także intencje ambitniejsze. Przede wszystkim Daniel Olbrychski w roli Azji Tuhaj-bejowicza. Ten niezmiernie utalentowany młody aktor, o uderzającej aparycji, wielkiej atletycznej sprawności i odwadze, a przede wszystkim o zdolności komunikowania gwałtownych uczuciowych napięć, ma wszelkie dane do tworzenia postaci romantycznych. Jego Azja jest sprężony w sobie jak ściśnięta sprężyna, dławiący mieszane namiętności, o odruchach dumy walczącej z chytryością. W porównaniu z innymi kreacjami emocje Azji wydają się autentyczne, z pierwszej ręki, nie pożyczane od widza, a przez to, oczywiście, i bardziej sienkiewiczowskie.

Da się jeszcze znaleźć parę innych sylwetek o podobnych przymiotach, choć w skromniejszej skali: ładną kreacją jest delikatnie kobieca i swej kobiecości świadoma Krzysia Barbary Brylskiej wykonuje rozgadana stolnikowa Hanka Bielińskiej. Do jaśniejszych punktów filmu zaliczyć też można ucieczkę Basi od Azji i finałową scenę pogrzebu Pułkownika. Ale suma wszystkich plusów nie czyni z „Pana Wołodyjowskiego“ nie tylko arcydzieła — jak chcą entuzjaści — ale nawet filmu dobrego.

Andrzej Pachulski

BIBLIOTEKA POLSKA  
W  
LONDYNIE  
NASZA WŁASNOŚĆ  
NASZ OBOWIĄZEK

# MONOGRAFIA O TYZENHAUZIE

**B**IORĄC do ręki pokazywany tom I monografii pt. „Antoni Tyzenhauz\*”) (1733-1785) dzieło całego życia prof. Stanisława Kościałkowskiego (1881-1960), aby go omówić, trzeba przede wszystkim postawić sobie pytanie, o czym nie będzie się pisać? I od razu, nie bez przekory, dobrze postanowić sobie, że będzie się mówić jedynie o tym, o czym inni będą najmnij wspominać. Zatem nie ma co wdawać się tutaj w spory historyczne, czy był on rzeczywiście wielkim rewolucjonistą przemysłowym, rodzajem „sarmackiego Colberta“ (1619-1683, który podziwiał gospodarczo Francję za Ludwika XIV), czy tylko nieodpowiedzialnym ryzykantem. Recenzenta kusić może wniosek, aby z wielkości monografii sądzić i wielkości bohatera, jak również chciałby się obronić przed mierzaniem wielkości jego li tylko powodzeniem jego przedsięwzięć. Wiadomo, że Tyzenhauz skończył bankrutem i w ten sposób został przez własny los potępiony. Ale przychodzi refleksja, że w takich bojach z losem wiele zależy od okoliczności i przypadku. Bismarck po bitwie pod Sadową wyraźnie o sobie powiedział, że gdyby mu się wówczas mogła powinęła i przegrał, to nie byłby bohaterem narodowym ale tylko uważany za zwykłego zbrodniarza. Niech zatem wolno będzie — mimo jego błędów i niepowodzeń — uznać Tyzenhauza, jeśli nie za bohatera narodowego, to przynajmniej za człowieka, który wykazał wiele inicjatywy, w trafnie wybranych kierunkach, wielką wielostronność, wiele odwagi oraz, że pozostawiony przez niego ślad w historii może raczej służyć za pobudkę do podobnych przedsięwzięć, byle tylko nieco ostrożniej i roztropniej poczętych.

Stronę polityczną czy społeczną działalności Tyzenhauza też nie spo-

sób tu się zająć, jak i jego niedolę po opuszczeniu go przez króla Stanisława Augusta-Dobrodzieja, który był jego mecenasem dopóty, dopóki mu Tyzenhauz umiał dochodów przysparzać. Pozostanie zatem zająć się chyba tylko tym, co zwykle na drugi plan spychane, co uznane bywa za objaw wybujałej fantazji lub swawoli magnackiej, tj. jego działalnością kulturalną, którą się zazwyczaj pochwała, która jednakże w rachunku historyczno-politycznym prawie że się nie liczy. Więcej zazwyczaj mówi się o prekursorstwie Tyzenhauza w zakresie rozbudowy przemysłu, gdzie ponoć w całe 100 lat wyprzedzał procesy rewolucji przemysłowej, mówi się też, że dawał wyraz duchowi reform socjalnych i to w okresie szczególnego zacofania, zatem wyprzedzał swą epokę, musiał więc podzielić los tych, którzy nie idą w krok ze swymi współczesnymi. Rzeczy te nie są bynajmniej nam obce czy odległe, jeśli uprzytomnimy sobie warcholskie kłody rzucane pod nogi twórcom przedsięwzięć podejmowanych na większą skalę przez nam współczesnych. Tyzenhauz przeprowadzał reformy gospodarczo-przemysłowe gdy nie było jeszcze, ani naukowej organizacji pracy, ani prakseologii, ani teorii i praktyki zarządzania przedsiębiorstwami, ani też planowania badań naukowych, czy też futurologii. Przy swoim rozmachu i z takimi niedoborami mógł skutecznie i sprawnie zostać tylko jeszcze jednym kupcem lub przemysłowcem więcej, ale nie Tyzenhauzem. W czasach gdy organizacja była wciąż jeszcze „grą szczęśliwego przypadku“ — „sarmackiego Colberta“ — mógł łącznie spotkać los, którego uniknął „gallicki Tyzenhauz“.

Zasięg przedsięwzięć kulturalnych Tyzenhauza, jego mecenatu w tej dziedzinie, był wcale „niewąski“. W głównych punktach obejmował takie działy jak zakłady naukowe, mecenat artystyczny, promocję drukarstwa i opiekę nad ładem i bezpieczeństwem publicznym na podlega-

jących mu obszarach. W pierwszym dziale Tyzenhauz był założycielem Akademii Lekarskiej w Grodnie z działem weterynaryjnym i biblioteką naukową. Z tą wyższą szkołą związany był prof. dr Jan E. Gilbert, założyciel ogrodu botanicznego w Wilnie z gabinetem historii naturalnej. Przy Akademii był dom dla położnic, szkoła akuszeryjna, szpital i apteka, z której wydawano lekarstwa bezpłatnie. Projekt założenia obserwatorium astronomicznego nie doszedł do skutku.

W Grodnie założona została również przez Tyzenhauza Szkoła Rycerska, czyli Korpus Kadetów, w którym nauka poza przedmiotami wojskowymi obejmowała i przedmioty teoretyczne, jak matematyka, geografia, rysunki i języki obce. Ponadto założone były szkoły buchalterii, miernictwa i budownictwa, a podobno także szkoła handlowa dla młodzieży żydowskiej. Były zorganizowane nauki terminatorskie u rzemieślników różnego rodzaju, wreszcie szkoła świąteczna, elementarna, dokształcająca i specjalna szkoła niemiecka dla dzieci fabrykantów niemieckich, a obok niej także — choć to niepewne — francuska.

Tyzenhauz był nie tylko organizatorem i protektorem zakładów różnych kunsztów i nauk. Był on też mecenasem sztuk pięknych. Gromadził zbiory obrazów i rycin, zajmował się architekturą realizowaną w budowlach i przebudowach, ale szczególnie zasłynął jako miłośnik muzyki i teatru. W tym zakresie kontynuował tradycje ówczesnych magnatów polskich. Rzucając tę działalność na tło historyczne Kościałkowski zaznacza, że zainteresowania te szły w trzech kierunkach: 1) orkiestr i popierania muzyki, 2) baletu i 3) teatru dramatycznego. W tej kolejności. I podkreśla dalej, że „Na szczególne pochwały zasłużył sobie balet Tyzenhauza w Grodnie“. Z niego wywodzi się wielka tradycja baletu stołecznego utrzymana już przez dwa stulecia przy operze stołecznej. Nacisk położony

\*) Stanisław Kościałkowski „Antoni Tyzenhauz“, tom I, Londyn, Wydawnictwo Społeczności Akademickiej Uniwersytetu Stefana Batorego w Londynie, 1970, stron 686.



przez Tyzenhauza na ten właśnie dział sztuki wskazuje na jego wielką intuicję artystyczną i znajomość polskiego charakteru narodowego w zakresie szczególnych talentów i możliwości artystycznych.

Ale może właśnie w tym zakresie, gdzie miał szczególną rację, sprawa była omotana taką siecią intryg i nieporozumień, że krótka relacja Kościałkowskiego musi być uzupełniona dalszymi badaniami i tekstami już istniejącymi, aby przedstawić ją w pełnym i należytym świetle. Dopełnia ten dział praca w zakresie amatorskiego teatru dramatycznego wspieranego przez Tyzenhauza w Grodnie.

Choć te działy, jak i inne, cierpiały na te same braki organizacyjne, a mianowicie: na mnogość, pośpiech w zakładaniu, brak planowości i stopniowania w ich tworzeniu, a skutkiem tego na brak podstaw materialnych, brak stałych i wystarczających dotacji, których „na tyle naraz potrzeb skarb ekonomiczny dać nie mógł”; to jednak — jak podkreśla Kościałkowski — „niesłuszne były owe zarzuty lekkomyślnej rozrzutności, stawiane Tyzenhauzowi w związku z nowym „Teatrem grodzieńskim”, z jego różnostronnymi rozgałęzieniami“. Niemniej „istniała stanowczo pewna dysproporcja w traktowaniu poszczególnych spraw ... pewien nieład, brak rządności, który sprawiał, iż przed katastrofą Tyzenhauza teatr był ulubionym beniaminkiem administracji grodzieńskiej, podczas gdy inne działy gospodarki traktowane były po macoszemu“.

Do tej działalności kulturalnej dołączała się jeszcze szczególna opieka nad drukarstwem, a zwłaszcza nad Wileńską Drukarnią Akademicką i drukarnią grodzieńską, z działem hebrajskim i cerkiewnym, prowadzącą działalność „nader urozmaiconą“ obejmującą druki 1) religijne i kościelne, 2) ogólnonaukowe i popularyzatorskie, 3) sejmowe, 4) urzędowe, prawne i sądowe, 5) z literatury pięknej m.in. przekłady Moliere, utwory Krasickiego i inne, 6) pisma okolicznościowe, 7) gazety i kalendarze. Bardzo wiele zrobiono w zakresie opieki nad ładem i bezpieczeństwem publicznym, która roz-

ciągała się od organizacji duszpasterstwa po policję włącznie i obejmowała bataliony ekonomiczne, kompanie wartownicze, specjalne sądownictwo, z aresztami i więzieniem ekonomicznym, w których aresztanci, czasem skuci, używani byli do ciężkich robót, oraz surowym systemem meldunkowym. Projektowany dział informacji adresowych nie doszedł do skutku.

Z zakładów naukowych, szkoła kadetów nie uległa od razu zagładzie, po upadku Tyzenhauza. Później została jak i niektóre inne zakłady przeniesiona do Wilna, wraz z muzeum przyrodniczym i biblioteką, jako darowiznami królewskimi. Szkoła baletu i orkiestra przeniesione zostały do Postaw, dóbr własnych Podskarbiego i po jego śmierci zasiliły balet warszawski, jako balet narodowy. Drukarnia wileńska oddana została Komisji Edukacyjnej, a grodzieńska przetrwała nawet upadek państwa. Nad okolicznościami likwidacji dorobku Tyzenhauza lepiej się nie rozwodzić, nikomu to nie przyniesie zaszczytu.

Razem wzięwszy monografia o Tyzenhauzie wydaje się być monografią nie tylko o samym Tyzenhauzie, ale o polskim duchu narodowym w epoce Tyzenhauza. Jakże skłębiony, jakże zmieszany, jakże bogaty i barokowy to duch. I jakże trwałe i mało zmienny. Wiele z tego dziedzictwa duchowego się zachowało, wiele się dotychczas nie wyklarowało. Ale pisząc recenzję — nie sposób pisać drugiej monografii. Zadowolnijmy się tą, którą nam pozostawił wybitny uczony — Stanisław Kościałkowski — w zatroskaniu o siłę i czystość polskiego ducha narodowego. Bardzo pouczająca to lektura, a odbicie w niej swoich losów znajdzie niejeden z rodaków autora.

Wśród zasłużonych około tego dzieła, naprawdę monumentalnego, poza autorem — Stanisławem Kościałkowskim — wymienić należy na pierwszym miejscu dr Lidę Ciołkoszową, która tę górę erudycji przyniosła nierozkruszoną z rękopisów do tekstu książkowego — przy fachowej pomocy Oficyny Poetów i Malarzy — w sposób godny wielkiego uznania. Współdziałali w edycji tego dzieła, którego II tom jest

B.D.I.C

wciąż jeszcze nieznaną, prof. dr H. Paszkiewicz, marsz. B. Podoski i Fundacja Lanckorońskich na czele innych, ofiarnych fundatorów, których lista jest wciąż otwarta.

Jan Ostrowski

## BIBLIOTEKA „KULTURY“

FRANCISZEK KALINOWSKI

## LOTNICTWO POLSKIE

w W. BRYTANII

(1940—1945)

Obszerny zarys historii Lotnictwa Polskiego z lat 1940/45, opracowany na podstawie źródłowych materiałów polskich i angielskich. „Battle of Britain“ — pomoc lotnicza dla Kraju, ze szczególnym uwzględnieniem Powstania Warszawskiego. Zestawienia statystyczne wysiłku bojowego każdego rodzaju lotnictwa, zwycięstw dywizjonów i indywidualnych, straty w poszczególnych rodzajach lotnictwa. Indeks zawierający ponad 1.000 nazwisk.

Cena: 60 sh. — 7.50 dol. — 36 F.

Księgarnia SPK,

20, Queens Gate Terrace,  
LONDON, S.W. 7.

## BIBLIOTEKA „KULTURY“

PAULINA PREISS

## BIUROKRACJA TOTALNA

Analizując tragiczne skutki, jakie sprowadza na społeczeństwo każda totalna biurokracja, autorka kreśli głęboki i trafny obraz klasy rządzącej w Polsce. Książkę tę można śmiało zestawić z głośną NOWĄ KLASĄ Dżilasa, z tym, że jest ona o wiele bardziej aktualna, gdyż uwzględnia przemiany jakie zachodziły pomiędzy latami 1956—1969.

Str. 224.

Cena: 31sh., 18.50 F., 4.00 dol.

Księgarnia SPK,

20, Queens Gate Terrace,  
LONDON, S.W. 7.

# Przegląd spraw wojskowych

**UKŁAD WARSZAWSKI.** Piętnastoletnie zawarcie tego przez Moskwę narzuconego pseudopaktu, do którego dołączono nieco później Niemcy Wschodnie a z którego de facto wyeliminowano Albanie, było oczywiście obchodzone 14 maja br. z wielką pompą nie tylko w stolicach wszystkich państw satelickich, ale także w Moskwie. Ważniejsze niż te galówki były jednak nowe i bardzo niepokojące akcenty ze strony Moskwy, poniekąd zapowiadające bądź rewizję „układu warszawskiego“, który ogranicza obowiązek niesienia pomocy do Europy, bądź jego obejście przez dodatkowe dwustronne pakt, których prototypem stał się niedawno zawarty pakt między ZSSR a Czechosłowacją. Przy podpisywaniu tego paktu Breżniew podkreślił z naciskiem, że artykuł 10-ty tego paktu przewiduje wzajemną pomoc w wypadku zbrojnej napaści „ze strony jakiegokolwiek państwa czy jakiegokolwiek grupy państw“. Marsz. Greczko już 8 maja br. mówił o konieczności wzmacniania „obrony“ zarówno od zachodniej jak od wschodniej strony, a naczelny organ sowieckich sił zbrojnych „Krasnaja Zwiezda“ postawił kropkę nad „i“, oświadczając wręcz, że obowiązek niesienia pomocy już nie ogranicza się do samej Europy, jak układ warszawski przewiduje.

Przeciw tym tendencjom i równoległym naciskom o pełniejszą integrację sił sojuszniczych zaoponowała jedynie Rumunia. Jej wiceminister obrony, generał-pułkownik Marin Niculescu, umieścił na łamach armijnego czasopisma „Apaparea Patriei“ mocny artykuł, w którym nie tylko wypowiedział się (zgodnie ze stanowiskiem partii i rządu) przeciw integracji, ale także przypomniał, że układ warszawski został zawarty jedynie w celu wspólnego odparcia imperialistycznej napaści w Europie, przy czym jego sygnatariusze wyrzekli się stosowania gróźb i przemocy w ich stosunkach międzynarodo-

wych. Szef sztabu generalnego LWP przemilczał dyplomatycznie drażliwą sprawę ewentualnego zaangażowania na Dalekim Wschodzie i ograniczył się do podkreślenia, że integracja nie oznacza automatycznego przenoszenia teoretycznych zasad i praktycznych doświadczeń jednej armii na pozostałe. Równocześnie jednak wypowiedział się za pełniejszą koncentracją politycznych, gospodarczych i militarnych potencjałów państw należących do „układu warszawskiego“ przy silniejszym podziale pracy.

Jeszcze dalej w układności poszedł czechosłowacki minister obrony, gen. Dzur, w rozkazie do „rudej armady“ z dnia 14 maja br. podkreślił klasowy, obronny i internacjonalistyczny charakter „układu warszawskiego“ i jako jego osiągnięcia wymienił zduszenie kontrrewolucji węgierskiej, wybudowanie muru berlińskiego, zlikwidowanie kryzysu kubańskiego i pomoc daną „narodowi czeskiemu“ w zwalczaniu „kontrrewolucji i infiltracji zagranicznych sił reakcyjnych“ w 1968 roku. Dowódca sił „układu warszawskiego“ marsz. Jakubowski wolał inne „osiągnięcia“ przytoczyć.

Że integracja postępuje, o tym świadczą coraz liczniejsze wspólne manewry, przeprowadzone nie tylko na obszarze C.S.R. i N.R.D., ale także (jak obrony przeciwniczej w lipcu) na niemal całym obszarze, objętym „układem“. Również 3-dniowa konferencja, odbyta w Dreźnie na początku września br., ma swoją wymowę.

**POLSKA.** Gdy pierwsze miesiące br. były wypełnione niezliczonymi akademiami lub sesjami naukowymi z okazji 25-lecia „oswobodzenia“ poszczególnych miast lub 100-lecia urodzin Lenina albo 52-lecia powstania „armii radzieckiej“, to w późniejszych miesiącach starszyzna wojskowa była nie mniej zaabsorbowana bądź manewrami, bądź wizytami

zagranicznych gości wojskowych, bądź promocjami w wyższych uczelniach wojskowych.

Szczególnie uhonorowana została 20 promocja Akademii Sztabu Generalnego, podczas której komendant akademii, gen. Czaplewski, wysoko ocenił poziom absolwentów, minister obrony, gen. Jaruzelski, wręczał osobiście (w otoczeniu wce ministrów, gen. Korczyńskiego i gen. Urbanowicza), dyplomy a I. zastępca szefa sztabu, gen. Moleczyk, wygłosił główne przemówienia.

Również 16-ta promocja Wojskowej Akademii Politycznej nie została zbagatelizowana, skoro „uświetnili“ ją obecnością i przemówieniami gen. Moczczar i gen. Urbanowicz.

Skoro mowa o Urbanowiczu, który jest szefem G.Z.P., czyli naczelnym politykiem LWP, warto wspomnieć o tym, że właśnie on, a nie szef sztabu generalnego, przewodniczy komitetowi redakcyjnemu kwartalnika „Wojskowy Przegląd Historyczny“. Komitet ten jest zresztą ogromny, bo składa się z 7 generałów, 9 pułkowników i podpułkowników oraz 1 cywilnego profesora Herbsta. Należą do niego dwaj b. oficerowie W. P., gen. Kuropieska i gen. Skibiński (obaj w stanie spoczynku) i należał zmarły niedawno płk. lotnictwa Romeyko, który wrócił do Polski z Australii po napisaniu licznych paszkwilów na nasze przedwojenne W.P.

Niektórych czytelników zainteresuje i zasmuci wiadomość, że w ciągu ostatniego roku zmarli w Kraju (poza wspomnianym płk. Romeyko, następujący b. oficerowie W.P.: gen. Aleksander Szychowski, b. szef kolejnictwa wojskowego, pułkownicy lub podpułkownicy: Jan Gawron, Józef Gryglaszewski, Józef Grodzki, Zygmunt Kosior, Władysław Moykowski, Stanisław Owczarski, Wacław Szykowski i Witold Ziss oraz komandor Michał Borowski.

Wreszcie warto wspomnieć o tym, że: — dotychczasowy główny kwatermistrz, gen. dyw. Ziemiński, bodaj ostatni b. oficer W.P. w czynnej służbie, został zastąpiony przez gen. bryg. Obiedzińskiego, a sam objął funkcję przewodniczącego Związku Inwalidów Wojennych;

— i że b. dowódca marynarki wojennej, wiceadmirał Studziński, który jest obecnie zastępcą szefa sztabu „zjednoczonych sił zbrojnych układu warszawskiego“, towarzyszył delegacjom 3-ch „bratnich“ armii w zwiedzaniu szkół i poligonów LWP.

Kage

GRYF PUBLICATIONS LTD

Paweł Zaremba

**HISTORIA STANÓW ZJEDNOCZONYCH**

WYDANIE DRUGIE PRZEJRZANE I POPRAWIONE

Cena 45 sh.

KSIĘGARNIA S. P. K. — 20, QUEENS GATE TERRACE, LONDON, S.W. 7.



## OBCHÓD WYZWOLENIA I 25-LECIE TOWARZYSTWA „AXEL-POLEN“

Towarzystwo „AXEL-POLEN“ obchodziło we wrześniu 25-rocnicę swego istnienia. Uroczystości, połączone z obchodem 26 rocznicy wyzwolenia m. Axel, odbyły się w dniach 18 i 19 września z udziałem delegacji Koła SPK we Vlissingen, utrzymującego z Towarzystwem „Axel-Polen“ bliskie i serdeczne stosunki.

Two „AXEL-POLEN“ przy współpracy miejskiego archiwum i redakcji „Kombatanta Polskiego w Beneluxie“, zorganizowało wystawę ilustrującą za pomocą dokumentów, publikacji, wycinzków prasowych i licznych fotografii, a także ekwipunku wojskowego z okresu drugiej wojny światowej, lata okupacji i wyzwolenie miasta Axel przez 1 Dywizję Pancerną. Redakcja „Kombatanta Polskiego w Beneluxie“ na osobnym polskim stoisku wystawiła swoje polskie i holenderskie wydawnictwa, książki autorów polskich w przekładzie holenderskim Willem A. Majera, polskie płyty oraz akwarele mundurów Wojska Polskiego.

Wystawa trwała od 18 do 26 września. Zwiedziło ją kilkanaście tysięcy Holendrów, w tym uczniowie i uczennice szkół, którym na temat wystawy zadane zostało napisanie wypracowań.

W centrum kulturalnym „De Halle“ gdzie umieszczona została wystawa, Two „Axel-Polen“ zorganizowało dla swych członków i sympatyków pokaz dokumentalnych filmów z okresu okupacji i wyzwolenia Holandii, poprzedzonych referatem sekretarza gminy p. P. G. van de Bosse. Przed tym jeszcze prezes T-wa „AXEL-POLEN“ i oddany przyjaciel Polaków p. D. J. Oggel, wygłosił mowę jubileuszową ilustrującą działalność i osiągnięcia „AXEL-POLEN“ w ciągu 25 lat jego istnienia.

A, że zrobiono wiele, o tym świadczą starannie utrzymane groby żołnierzy polskich, liczne polskie pomniki i polskie ulice, doroczne wzruszające obchody wyzwolenia, doroczne zbiórki na polskich inwalidów wojennych i wiele jeszcze innych faktów, dzięki którym Axel urosło do symbolu wdzięczności wobec Żołnierza Polskiego...

Obchód wyzwolenia i oddanie hołdu poległym żołnierzom polskim, odbyły się w dniu 19 września br. Liczna delegacja Koła SPK „Vlissingen“ z prezesem SPK w Holandii inż. J. Miankiewiczem na czele oraz przybyły z Anglii sekretarz Związku Kół Oddziałowych 1 Dywizji Pancerniej, por. W. A. Deim...

## Z ŻYCIA POLSKIEGO

powitani zostali w ratuszu przez burmistrza p. M. K. van Dijke oraz przez prezesa T-wa „Axel-Polen“ p. D. J. Oggel. Ze strony polskiej przemawiali: prezes SPK inż. Minkiewicz, por. Deimel, który przekazał pozdrowienia od gen. Maczka oraz prezes Koła 1 Dywizji Pancerniej w Holandii, p. B. Opol-ski.

Po tym oficjalnym powitaniu udano się na cmentarz katolicki, gdzie burmistrz złożył kwiaty na grobach ofiar ludności cywilnej, podczas gdy senior Koła SPK „Vlissingen“ p. P. Szydłowski i przedstawiciel T-wa „Axel-Polen“ złożyli kwiaty na grobie śp. p. Szydłowskiej (żony oswobodziciela i honorowego obywatela m. Axel, płk. dra Z. M. Szydłowskiego, zamieszkałego w Kanadzie).

Potem udano się na cmentarz gminny, gdzie pod pomnikiem przy starannie utrzymanych grobach żołn. polskich, kwiaty w imieniu SPK w Holandii złożył p. B. Opol-ski, a w imieniu T-wa „Axel-Polen“ pani Maas i p. Schieman.

Oficjalna i główna uroczystość oddania hołdu poległym odbyła się następnie pod pięknym pomnikiem „Synów Polski poległych za wolność Holandii“, dokąd udano się sprzed ratusza w pochodzie przy dźwiękach żałobnych werbli. Tutaj wieńce złożyli: burmistrz miasta p. M. K. van Dijke, prezes SPK w Holandii inż. J. Minkiewicz, prezes i wiceprezes T-wa Axel-Polen“ pp. D. J. Oggel i A. J. M. Kesbeke. Wartę honorową po obu stronach pomnika pełniła drużyna Narodowej Rezerwy.

Po złożeniu przed pomnikiem kwiatów przez delegację holenderskich organizacji i szkół, pod pomnik — a jest to zawsze najbardziej wzruszające — parami i czwórkami podchodziły dzieci z bukietami kwiatów. A że było ich chyba tysiąc, więc ułożyły przed pomnikiem barwny dywan kwieciany...

Trębacz odegrał „The Last Post“, a po 2-minutowej chwili milczenia „Reveille“ burmistrz zapalił następnie przed pomnikiem „Znicz Wolności“, po czym

prezes SPK inż. J. Minkiewicz podczas zaintonowania przez chór holenderski „Jeszcze Polska nie zginęła“, wciągnął na maszt polską flagę.

Po południu udano się do Krzyża Dragonów nad kanałem „Axel-Hulst“, gdzie jak głosi napis polski i holenderski „... dnia 17 września 1944 roku 25 żołnierzy 10 Pułku Dragonów poległo na polu chwały, niosąc wolność Holandii w drodze do Polski...“, gdzie również złożono kwiaty na grobach poległych żołnierzy.

Po tej uroczystości Zarząd T-wa „Axel-Polen“ z okazji swego jubileuszu podejmował gości polskich „lampką wina“.

Wieczorem goście polscy podejmowani byli wspólną kolacją, ufundowaną przez T-wa „Axel-Polen“. Przy stole przemówił red. B. Strenk, składając hołd T-wu „Axel-Polen“, które dzięki swym licznym dowodom wdzięczności wobec Żołnierza Polskiego, stało się symbolem prawdziwej przyjaźni polskoholenderskiej.

Obchód 26 rocznicy wyzwolenia miasta Axel przez 1 Dywizję Pancerną oraz uroczystości 25-lecia Towarzystwa „Axel-Polen“ zakończone zostały wieczorem tzw. „taptoe“: występami i popisami czterech orkiestr oraz plutonu uroczych majorettek.

## K A N A D A

### ANKIETA WŚRÓD MŁODZIEŻY

Z ankiety przeprowadzonej wśród uczestników ogólnokanadyjskiego Zjazdu Młodzieży Polonijnej wynika, że 54,2% mówi biegle po polsku, 39,5% słabo, 6,1% bardzo słabo, a 3,5% nie mówi wcale po polsku.

91% należy do polskich organizacji młodzieżowych. 87,7% zamierza uczyć swoje dzieci po polsku. W ankiecie uczestniczyło 147 osób obojga płci.

## S T A N Y Z J E D N O C Z O N E

### KIM JEST POLSKI POWOJENNY EMIGRANT W AMERYCE

Z kwestionariusza na ten temat, na który nadesłano 2.049 odpowiedzi wynika, że ogół emigrantów powojennych to ludzie w wieku średnim. Z Anglii przyjechało 39%, z Niemiec 22%, — wprost z Polski 20%, z Argentyny 5%.

Prawie 53 procent brało czynny udział w ostatniej wojnie światowej.

28% odpowiedzi stwierdzało, że autorzy ich należą do SPK.

# WIELKA BRYTANIA — KRAJ DUCHÓW

**H**ISTORIE o „strachach“ lub „pokutujących duchach“, są stare jak świat. Każdy też kraj i ziemski zakątek ma swoją porcję „zjaw“ na podłożu historycznym. Związane jest to zazwyczaj z miejscami bitew, z ruinami świątyń, ze starymi zamkami, pałacami i dworami.

Moja młodość ubiegła niedaleko zamku Sanguszków — należącego niegdyś do Żółkiewskich i Sobieskich — w Podhorcach. — Pamiętam ten dreszczyk, z jakim słuchałem opowiadań o „pani w bieli“, która nocną porą snuje się poprzez galerie i salę rycerską — w kierunku narożnego bastionu.

Albo Kabaki... Bagnista dolina z rzeczułką, która była podobno miejscem krwawej bitwy z Tatarami. Wiodła przez nią droga z Wysocka do powiatowego miasta Brodów. Wśród leciwych gospodarzy w okolicy panowało przekonanie, że tam „złe“ straszy. Co drugi opowiadał zniżonym głosem o jakiejś własnej w tym miejscu przygodzie. Młodszy niby to się śmiali, ale gdy któremu wypadało nocną porą przez Kabaki przejeżdżać, to dla pewności „zdrowaśki“ odmawiał, aż dopóki nie wjechał w opłotki Ponikowicy.

A z kampanii włoskiej pamiętam, jak to w miejscowości Mercato Saraceno — radzono nam nie kwatrować w pewnym starym budynku, bowiem „i apparenzi spettrali“ spać nam nie dadzą. Ponoć aż 3 duchy pomordowanych saraceńskich piratów harcowały tam nocami.

Wydaje mi się jednak, że ze wszystkich krajów świata — Anglia i Szkocja obfitują szczególnie w „zjawy“ i „strachy“. Nie jestem w tym mniemaniu odosobniony. Wielki znawca tego przedmiotu, francuski pisarz Cyrille de Neubourg, nazywa Wielką Brytanię „krajem duchów“. Powiada, że brytyjskie zamki, kościoły, pałace i dwory posiadają „więcej duchów niż myszy“. Lecz okazuje się, że może to być nawet bardzo dochodowe. Brytyjska organizacja turystyczna „The British Travel and Holidays Association“ prowadzi zagranicą (szczególnie w Ameryce)

kampanię ogłoszeniową, opartą na historii miejsc, w których „straszy“.

Przewodnik oprowadzający turystów, zawsze na zakończenie wiede swą grupę do jakiegoś mrocznego korytarza lub do ponurej sali — i z namaszczeniem powiada: — „A tutaj, proszę państwa...“ Po czym następuje opowieść, jak — dajmy na to — taka: —

W rezydencji Althorp Park, koło Northampton, duch wyfraczonego kamerdynera obchodzi nocami komnaty. Widocznie było niegdyś jego funkcją zdmuchiwanie świec w kandelabrach. Teraz jest tam światło elektryczne i jedna żarówka świeci się całą noc na korytarzu. Kamerdynier zatrzymuje się tam, dmucha na żarówkę, tupie nogami z irytacją i... znika.

W pałacyku Bisham Abbey, ukazuje się postać kobiety myjącej ręce w unoszącej się przed nią misie. Jest to duch Elżbiety, żony rycerza z XVI. wieku, Sir Thomas Hoby, która zamordowała jedno ze swych dzieci.

W Yorkshire, w budynku, który był niegdyś częścią opactwa — Fountains Abbey, sunie nocami korowód duchów w mniszach kapturach. Klekocą sandały w korytarzu prowadzącym do komnaty, która była kaplicą. Tam duchy zawodzą pieśń i... znikają nagle.

Po reformacji, Henryk VIII nadał opactwo Newstead Abbey rodowi Byronów. Tam mnich w powłóczytym habicie pojawia się, gdy niebezpieczeństwo grozi Byronowi. Powiadają, że poeta Lord Byron toczył ze zjawą długie nocne rozmowy. Wynikiem tego ma być podobno jego utwór pt. „Mnich“. Według legendy, zakonnicy zakopali skarby klasztorne w paru miejscach. To właśnie duch ostatniego przeora klasztoru pozostał, aby strzec skarbów do czasu gdy uzna, że już można je oddać. Część z nich — powiadają miejscowi — oddał już w roku 1966-ym. Tego dnia, w którym anglikański prymas, arcybiskup Ramsey, odwiedził Papieża w Watykanie, robotnicy natrafili na część skarbów.

W Szkocji, niemal każdy zamek ma przynajmniej jednego straszącego ducha, a są też takie, które posiadają cały ich tabun.

Rodowym gniazdem królowej-matki Elżbiety jest zamek Glamis. Znajduje się tam ponoć komnata tak dobrze ukryta gdzieś w grubych murach, że nikt nie potrafi jej znaleźć. O jej miejscu i zawartości wie tylko każdorazowy Earl of Glamis (jako głowa rodu), oraz jego prawny następca. Różne są przypuszczenia co się w tej skrytej komnacie znajduje. Najpopularniejszą jest pogłoska o siostrze założyciela tego rodu (we wczesnym średniowieczu), która zajmowała się sztuką czarnoksięską. Podobno jej zeschnięte zwłoki odżywają od czasu do czasu.

Inna znowu pogłoska podaje, że została spalona na stosie. Ale, w rezultacie jej praktyk, komnata przepełniona jest straszliwymi poczwarami.

Inny znowu zamek, Cortachy Castle, siedlisko rodu Ogilvy, posiada swego ducha dobosza, który bębni nocami wokół murów. Też parę wieków temu, złapano „in flagranti“ młodego dobosza w sypialni księżnej. Zasyty go w bęben i zrzucono z najwyższej wieży.

W Holyrood House, w Edinburgu, duch nieszczęsnego Rizzia jęczy nocami.

W pałacu Sawston Hall koło Cambridge, duch Marii Tudor przechadza się po sali kobiercowej.

Na zamku Windsoru duch Elżbiety I-szej ukazuje się w sali bibliotecznej oraz na blankach muru. Również duch Jerzego III-go straszy w komnatach, które zamieszkiwał podczas choroby umysłowej.

Natomiast duch Jerzego II-go widnieje czasem w oknie Kensington Palace. Właśnie z tego okna, naprzeciw głównej bramy, za życia, wypatrywał kurierów wiozących wiadomości z Hanoweru.

Pałac Westminsteru, siedlisko Izby Parlamentu, ma dwa duchy. Jeden zwany „Radiant Boy“ czyli „Promiennym Chłopakiem“, jest zjawą młodzieńca z miłą i uśmiechniętą



# MIGAWKI Z PRZEDSIONKA KONGRESU

— Czemu ksiądz profesor tak późno przychodzi?

— No, widzi pan, to to nasze modernistyczne życie! Chciałem specjalnie być na omówieniu referatu o federalizmie, ale czekałem 20 minut na kolejkę, potem kilka minut za każdym razem przy przechodzeniu ulicy — no i stąd takie spóźnienie.

— Tak! Tak! Jakoś regularność pociągów u nas nie jest wzorowa. Ale z autobusami jest jeszcze gorzej. A gdzie ksiądz profesor ma kwatery?

— O, panie doktorze, gdzieś bardzo daleko. — Stacja „Angel“ nazywa się...

— Bardzo odpowiednia nazwa dla osoby duchownej. —

— Ale to nie tylko jest tak daleko, ale to i kosztuje sporo: blisko 7 szylingów za jeden przejazd tam i z powrotem. — Jak wy, londyńczycy sobie z tym radzicie?

— No! Musieliśmy się przyzwyczaić — wielu z nas ma samochody.

— O, ci to mają zapewne spokój.

— Pozornie. Co dwie godziny, w największym ferworze dyskusji musi się cwałować do „metra“, przy którym wóz się zostawiło, aby dorzucić 2-szylingową monetę za postój. Jak się człowiek spóźni — kryminał! Odciągną mu wóz do garażów podmiejskich, wlepią kilka fun-

tów kary i zabierze to czasem parę dni zanim wóz się odnajdzie.

— Co za pech! Zgubiłem gdzieś okrągły kartonik z nazwiskiem, i nie dostanę się na otwarcie Kongresu, a tak chciałbym posłuchać wykładu profesora Paszkiewicza. —

— Ależ wpuszczą pana i bez tego, panie profesorze. —

— Skąd znowu! Na słowo nie uwierzą! Właśnie przed chwilą uroczą rusalka, która stoi tam, widzi pan, przy drzwiach wejściowych i sprawdza kto wchodzi, nie chciała wpuścić organizatora Kongresu pro-

## WIELKA BRYTANIA — KRAJ DUCHÓW

twarzą. Natomiast drugi duch o nazwie „Big Ben“, nie jest lubiany. Jego pojawienie się zapowiada śmierć w rodzinie królewskiej. Po raz ostatni widziano go w lutym 1952-go, na parę dni przed śmiercią króla Jerzego VI-go.

Pałac Hampton Court szczyci się duchami dwóch spośród ośmiu żon Henryka VIII-go. — Katarzyna Howard ukazuje się czasami na górnej galerii. Biegnie w bieli z rozpuszczonymi włosami przeraźliwie zawodząc. Natomiast zjawia Jane Seymour zachowuje się cicho i kroczy z godnością galerią „srebrnych lasek“.

Z inną żoną tego króla związany jest dwór Blickling Hall w Norfolk, w którym Anna Boleyn spędziła swe dzieciństwo. W każdą rocznicę jej egzekucji, zajeżdża przed dwór karetą zaprzężoną w czwórkę bezgłowych koni z bezgłowym woźnicą na koźle. Wewnątrz siedzi Anna Boleyn trzymając swą głowę na kolanach.

Inna znowu, poszóstna karetka-widmo, jeździ na odcinku drogi koło dworu Roos Hall w parafii Basham.

Widmo dwu-kołowego wózka ciągniętego trucheikiem przez kucyka, widziane czasem na drodze do Retendon.

W miejscowości Wycoller Hall, jeździec na karym koniu galopuje po moście Packhorse Bridge, a następnie pędzi do ruin dworu i...

znika. Jest to duch XVII-wiecznego zawadiaki, który miał zwyczaj wjeżdżania konno po schodach wprost do sypialni żony.

W okolicy Loughton, na wzgórzu Traps Hill, o zachodzie słońca pojawia się postać jeźdźca na czarnym koniu. Z ramion spływa kolisty płaszcz, na głowie trójgraniasty kapelusz z piórem. To duch Dicka Turpin, słynnego bandyty z XVIII. wieku, który zatrzymywał na drogach dyliżansy i karety. Lecz ogalał podróżnych z kiesek i kosztowności z pewną dozą galanterii, szczególnie dla pań. Taki bandyta-dżentelmen.

Podlondyński las Epping Forest był miejscem wielu morderstw. Podobno widmowe sceny mroźące krew w żyłach, odgrywają się tam od czasu do czasu. Jest to jednak niczym w porównaniu do scen bitew, gdy setki widm walczy ponownie na historycznym polu bitwy.

Sienkiewicz w „Ogniem i mieczem“ pisał, że na Dzikich Polach: „Widywano również całe wojska cieniów, które czasem przybliżały się tak do stanic, że straż grały larum“.

Otóż widownią nawet jeszcze bardziej dramatycznych wydarzeń była miejscowość Edge Hill. Tam właśnie, w roku 1641-ym, wojska królewskie stoczyły pierwszą wielką bitwę w wojnie domowej, z siłami parlamentu. Była to prawdziwie

krwawa łaźnia i obie strony walczyły ze straszliwą zawziętością. Już w parę miesięcy potem, duchy zmarłych zaczęły odgrywać bitwę na nowo. Król Karol I-szy, biwakujący pod Oxfordem, w grudniu 1642-go roku, wysłał specjalną komisję do zbadania tej prawy. Ta grupa ludzi pod przewodnictwem Lorda Nugent, była świadkiem trzygodzinnej walki cieniów. Widmowe oddziały przesuwały się czasami obok tych obserwatorów, którzy zdołali nawet rozpoznać twarze paru — znanych im osobiście oficerów, poległych w tej bitwie.

Scena ta, twierdzą okoliczni mieszkańcy, powtarza się po nieregularnych kilkunastoletnich okresach spokoju.

W Shropshire, w okolicy Minsterley, „Wild Eric“ czyli Dzikie Eryk prowadzi swą saksońską armię cieniów do walki z Normanami. Po klęsce pod Hastings, Saksoni stawiali gdzieś tam lokalny opór zdobywcom. Wild Eric zebrał duży oddział i przez długi czas dawał się Normanom we znaki.

Znowuż, na walijskim pograniczu, w paru miejscach, król Artur z mieczem „Eskaliburem“ w rękę pędzi na czarnym rumaku. W poświęconej księżycy błyska jego złocista karacena. Wiedzie widmowy hufiec Brytów do walki z Saksonami.

Antoni Szachnowski

fesora Wajdy, bo nie miał na piersi swej kartki z nazwiskiem.

— Nie do wiary! Chyba oślepiła na chwilę! Nie poznać tak wspaniałej i pięknej postaci! Ale te młode panienki nie oceniają teraz urody męskiej, z chwilą, kiedy nie posiada się bokobrodów i włosów do ramion...

— Śliczną suknię ma pani profesor. —

— Ach, drogi doktorze, jakież tu u was zwyczaje?! Nigdy u nas w Szwajcarii nie pozwolilibyśmy sobie na galowy obiad, na który trzeba maszerować w wieczorowych strojach kilometrami pod gołym niebem i w dodatku na deszczu. To samo, zresztą było i na „Lampce wina“. — Pewno się zaziębiłam. Czuję już dreszcze.

— My też, łaskawa pani, podziwiając te wspaniałą toaletę na tak pięknej postaci pani profesor.

— Pochlebca! Lepiej niech mi pan powtórzy dyskusję na sekcji, na której była mowa o teatrze. Bardzo byłam jej ciekawa, ponieważ jednak w tym samym czasie odbywała się praca w sekcji pedagogicznej, musiałam wybrać tę ostatnią.

— Właściwie dyskusji nad pracą tą nie było, a niewiele brakowało, aby i streszczenie tego opracowania nie było wygłoszone. —

— Jakto? Była to przecie jedyna praca na tej sekcji. —

— Tak! Ale dołączono do niej kilka referatów postronnych z działalności kulturalnej polskiej poza Krajem. Więc mówiono o filmie na terenie krajowym, o filatelistyce, a był nawet dłuższy referat o „Wesołej Lwowskiej Fali“ przedwojennej. —

— Nie rozumiem...

— Ja też. Ale w końcu, po uzyskaniu poparcia przez głosowanie, usłyszeliśmy streszczenie referatu o teatrze. Oczywiście, w takim skrócie, który zaledwie daje przedsmak całego zagadnienia. Na dyskusję nie starczyło już czasu. Całe szczęście, że można opracowany zarys tej pracy przeczytać w wydanych materiałach Kongresu.

— Tak! To nas ratuje. Przy tak olbrzymim zakresie zagadnień, kiedy prace kilku sekcji odbywają się w tym samym czasie, nie było sposobu rozerwać się i być tu i tam jednocześnie.

— Dzień dobry, doktorze Kochany, Nic się pan nie zmienił, a ileż to lat jak nie widzieliśmy się?

— Przepraszam... Jakoś pamięć mi nie dopisuje...

— Jakto?! Byłem uczniem pana doktora przed wojną w Wilnie. — Rogoski, przypomina pan sobie?

— To pomyłka, łaskawy panie. Nigdy nie wykiadałem w Wilnie.

— Mój Boże! Czyżby mnie moja nieomylna pamięć wzrokowa myliła?

— Proszę pana. — Tu oto moje nazwisko. —

— Istotnie. Przepraszam najmocniej, ale twarz pana wydaje mi się tak znajoma... Czy pan, przypadkiem, był na Wschodzie, w łagrach sowieckich? Może tam właśnie...

— Nie. Jestem z Poznanskiego.

— A może spotykaliśmy się dwa lata temu w Kanadzie?

— I to fałszywe. Mieszkam teraz w Północnej Afryce. Ale cieszę się z zawarcia znajomości, panie... tak, widzę dobrze. A gdzie pan wykiada i jaki przedmiot?

— O, ja nie zajmuję się pedagogią. Pracuję w Niemczech Zachodnich. Teraz tam jest moda na tematy polskie i rząd powierza Polakom naukowe opracowania slawistyczne — i dobrze płaci.

— Dzień dobry, panie profesorze. Czy pan mnie poznaje?

— Naturalnie. Widywaliśmy się w Edynburgu. Czy pani tu wystawia swoja płótna?

— A jakże! I to niedaleko od rzeźb pana profesora — o, tam właśnie...

— Bardzo to dla mnie pochlebne. Obrazy pani zawsze mają dla mnie kojący charakter prawdziwości i nieprzypochlebiania się podziwie. Wystawa jest imponująca. Tyle prawdziwie twórczych nazwisk. Nasi artyści nie zawiedli.

— Jaka szkoda, że w dziedzinie muzyki nie da się tego powiedzieć. Część naszych muzyków zlekceważyła zaproszenie Komitetu Organizacyjnego i odmówiła przybycia.

— Co pani mówi?! Wprost trudno w to uwierzyć!

— Jednak ze smutkiem stwierdzamy, że tak było. I Panufnik, i Szalowski odmówili przybycia. —

— Jakoś obyło się bez nich. Koncert wypadł bardzo ciekawie. Utwory R. Palestra, M. Kruszyńskiego, K. Rathausa i R. Maciejewskiego pięknie wypełniły program.

— Niech pan profesor nie zapomina, ile w tym zasługi wspaniałego wykonania naszej słynnej szopenistki Natalii Karp oraz Martina Goldsteina i młodocianej orkiestry z Huddersfield.

H. Żurkowska

Adres WYDAWNICTWA: PCA Publications Ltd., 20, Queens Gate Terrace, London, S.W.7, gdzie mieści się także adres redakcji. Korespondencję z Redaktorem Naczelnym kierować można na: 171, Battersea Church Road, London, S.W. 11 (telefon: BAT 0879 lub BAT 1445). Adres ADMINISTRACJI: „Gryf“ — 171, Battersea Church Road, London, S.W.11. Tel. BAT 1445. Oddział Redakcji we FRANCJI: „Sirena“ — 20 rue Legendre, 75-Paris, 17-e. Tel. 924 0045, C/C/P/Ass. E.A.C.P. en France, 6365-22 Centre Paris oraz na płd. Francję — S. Horodyski, „Le Pavillon“, 1 rue de la Chèvre d'Or, 13 — Salon de Provence; w BELGII: J. Korab Brzozowska-Csáky 19, rue Amédée Lynen, apt. 57, Bruxelles 3, konto poczt. 7315.20; w NIEMCZECH: S. Mikiciuk, Muenchen, 45, Gablonzerstr. 7/1; w SZWAJCARII: Kiermasz Książki Polskiej, 4500 Soleure, Case Postale 145; w SZWECJI: Polski Komitet Pomocy, Jungfrugatan 30/11, Stockholm; w WŁOSZECH: W. Zahorski, Ass. Comb. Polacchi, Via Liccia 19, Roma; w ARGENTYNIE: „Libreria Polaca“, Serrano 2076, Buenos Aires; w AUSTRALII: „Vistula (Australia) Pty Ltd.“, Daking House, Rawson Place, Sydney; w KANADZIE: T. Krychowski, 101, Islington Ave South, Toronto 18, Ont. lub „Gryf“, Londyn; w STANACH ZJEDN.: J. Bienkowski, 627, Tracy St., Utica, N.Y.; Polish-American Book Co., 1136 Milwaukee Ave, Chicago 22, Ill.; „Księgarnia Ludowa“, L. Zukowski, 5347 Chene St., Detroit, 11, Mich. oraz ogniwa S. P. K. w POSZCZEGÓLNYCH KRAJACH. Egzemplarz pojedynczy: 4/-, dol. 0.50, Fr. 2.70. PRENUMERATA — kwartalnie: £0.12.0, dol. 2.00, Fr. 8.00; półrocznie: £1.4.0, dol. 4.00, Fr. 16.00; rocznie: £2.8.0, dol. 8.00, Fr. 32.00 — wzgl. według przeliczenia waluty miejscowej. Dopłata za przesyłkę lotniczą według taryfy.

Przedstawicielstwo w Wiedniu: Stowarzyszenie Polskiej Kultury, Fr. Schmidplatz 4, Wien VIII.



wody ciągłych wysiłków dyplomacji naszej by zapobiec uznaniu faktów dokonanych ze strony Rosji przez sprzymierzeńca brytyjskiego, który październikową mową Churchilla witał wysunięcie się Rosji na linię Curzona jako fakt pomyślny a mową Halifaxa zdawał się zapowiadać uznanie nowego stanu rzeczy od tej strony.

O tym trzeba pamiętać, gdy się wydaje sądy o sprawach i ludziach — a wystarczyło właściwie przeczytać uważnie i bez uprzedzeń atakowaną książkę o Sikorskim.

Łączę wyrazy poważania

M. Kukiel

**POROZUMIENIE SIKORSKI-MAJSKI**

Szanowny Panie Redaktorze,

Polemika Stefana Benedykta z gen. Kukielem dotyczy przede wszystkim okresu pierwszej wojny światowej, którą znam słabiej i dlatego nie chcę wypowiadać żadnych, w tym zakresie, opinii. Dostyc dużo wiem natomiast o wojnie ostatniej i tu widzę potrzebę zabrania głosu.

Porozumienie Sikorski-Majski, zawarte w r. 1941, po uderzeniu Niemiec na Rosję, wywołało poważną kontrowersję i ustąpienie z naszego rządu kilku ministrów. Obóz legionowy był mu zdecydowanie przeciwny, uważając, że zawarcie z Rosją układu bez gwarancji naszych granic wschodnich było politycznym błędem, który obciąża gen. Sikorskiego.

Stefan Benedykt jest takiego zdania i dziś, i podkreśla to jeszcze raz w liście do Redakcji „Orla Białego“, wydrukowanym w ostatnim numerze.

W jego opinii gen. Sikorski miał wówczas w swym ręku „dokument niezwyklej wagi „Układ o wzajemnej pomocy między Zjednoczonym Królestwem a Polską z 25. 8. 1939 r.“. Dalej zacytował punkt z protokołu do tego układu: „W razie gdyby jedna z układających się Stron zaciągnęła wobec państwa trzeciego zobowiązania wymienione w artykule 6 Układu, będą one z konieczności sformułowane w taki sposób, aby ich wykonanie nigdy nie naruszyło ani suwerenności, ani terytorialnej nienaruszalności drugiej układającej się Strony“.

Tekst powyższy uzupełnia Benedykt komentarzem: „Pacta sunt servanda“ — ta sankcja prawa międzynarodowego na pewno zostałaby uszanowana i była świetną obroną mimo niewątpliwych nacisków Churchilla i Edena, jak i Majskiego. A przede wszystkim dra Retingera“.

Można było tak rozmawiać w r. 1914, nie można, niestety, dziś. Przecież cały dramat Teheranu i Jalty polega właśnie na tym, że układ polsko-brytyjski został poszarpany, że pacta nie były „servanda“. W. Brytania, związana z nami układem, zaciągnęła wobec państwa trzeciego (Rosji) zobowiązania, w których oddała mu prawie połowę Polki. Sądzić można, że Brytyjczycy przewidywali taki bieg wypadków, a jeżeli tak, to słusznie zachę-

cali Polaków do zawarcia z Rosją w roku 1941 szybkiego porozumienia, rozumiejąc, że tą drogą da się coś uratować. Nie zamierzam bronić polityki brytyjskiej, ale uważam, że ich przynaglanie do pośpiechu, było w r. 1941 uzasadnione. Ówczesna decyzja gen. Sikorskiego, powzięta bez liczenia się z częścią swego otoczenia, była słuszna i przewidująca. Wziął odpo-

wiedzialność na siebie i dzięki temu uratował z Rosji ponad 100 tys. Polaków. Skoro pacta nie były „servanda“ dla naszych sojuszników, czyż mamy wierzyć, że byłyby dla zwycięskiego Stalina — nawet gdyby układ lipcowy zawierał jakieś gwarancje naszych granic?

Łączę wyrazy poważania

Józef Garliński

**KALENDARZYK KOMBATANTA**

**NA ROK 1971**

zawiera m.in. kilkaset adresów organizacji polskich w świecie, firm handlowych, daty imienin, mapkę kolejki podziemnej w Londynie — Cena 8/-

KSIĘGARNIA S.P.K. — 20, Queens Gate Terrace, LONDON, S.W.7.

JÓZEF A MĘKARSKA

**WĘDRÓWKA PO ZIEMIACH WSCHODNICH RZECZYPOSPOLITEJ**

Przewodnik serdeczny po Wileńszczyźnie, Polesiu, Wołyniu, Podolu, Podkarpaciu. — Cena 16/6, dol. 2.50, F. 15.00.

Do nabycia: w Księgarni SPK — 20, Queens Gate Terrace, London, S.W.7.

**OGŁOSZENIE**

Zamieszczone w „ORLE BIAŁYM“, czytają Polacy w 25 krajach świata.

**K R Z Y Ż Ó W K A N r 131/70**

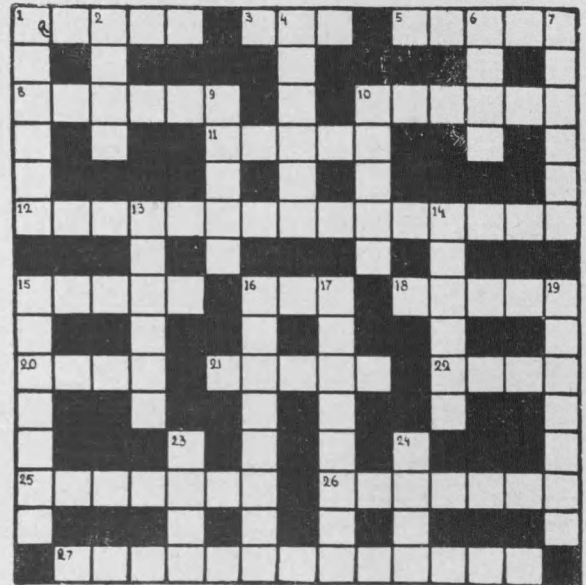
**ZNACZENIE WYRAZÓW**

**Peziome:** 1) i 5) poldowcowe ukształtowanie terenu; 3) i 16) zwycięski król Epiru; 8) na Południu ma swoją porę?; 10) osiedle położone zwykle nad wodą; 11) legendarnie związane z Popielem; 12) popularny ostatnio w Londynie pułkownik dragonów? (3, 12); 15) i 18) pojazd; 20) i 22) nie przejdiesz po nim suchą nogą; 21) zasiada na pawim tronie; 25) bryła geometryczna (wspak); 26) przysłowiowa rzeczka spod Rimini; 27) 24 godziny na scenie (4, 5, 1, 3).

**Pionowo:** 1) jeden z dawnych sposobów zdobywania twierdzy; 2) istnieje; 4) dopokąd (wspak); 6) dowódca zacieźnego statku za Zygmunta Staroego (wspak); 7) rodzaj utworu poetyckiego; 9) całkiem nie; 10) kraj niewoli; 13) przy żurawiu; 14) zielsko czpne; 19) siedziba dowódtwa; 16) co jakąś chwilę (3, 2, 3); 17) jak na spowiedzi; 19) niegrzeczny; 23) potrzebna w wodnych elektrowniach (wspak); 24) pomieszczenie (wspak).

**ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Nr 130/70**

**Paziome:** 1) i 5) szczybiec, 3) i 16) szczep, 8) trzask (wspak), 10) Aleksy,



11) kułak, 12) Brama Floriańska, 15) i 18) Światopełk, 20) Usza, 21) ustna (wspak), 22) świr, 25) blichtr (wspak), 26) Irydion, 27) na szorym końcu.

**Pionowo:** 1) szkrab, 2) i 6) cwaniaki, 4) ziółko, 7) czysta, 9) afekt (wspak), 10) miska (wspak), 13) marazm (wspak), 14) napaść, 15) ślusarz, 16) Zanzibar, 17) pesymizm, 19) koronny, 23) giez, 24) myto.

JUŻ SIĘ UKAZAŁ

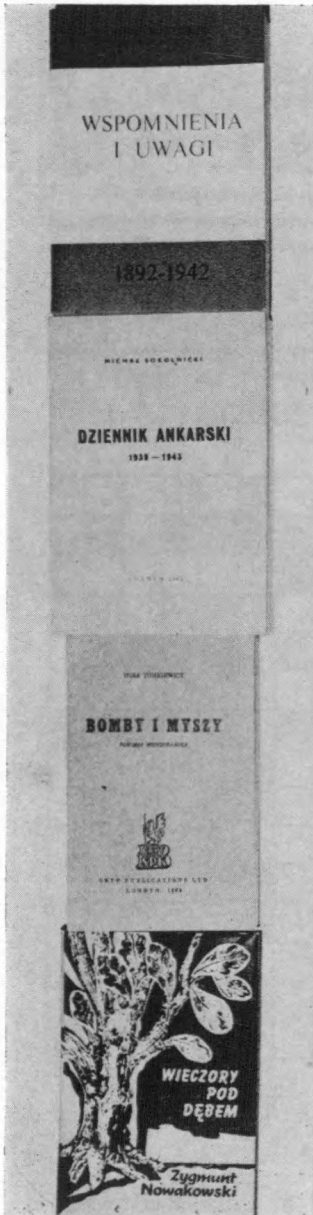
# KALENDARZYK KOMBATANTA

NA ROK 1971

CENA 8 s.

KSIAŻKA POLSKA OFIAROWANA

PRZYJACIOŁOM NA ŚWIĘTA  
TO NAJMILSZY PODAREK



Numer LISTOPADOWY  
*miesięcznika RWE*  
**NA ANTENIE**

- Piszą m.in. następujący autorzy:
- Cz. Dobek: JUBILEUSZ „TWÓRCZOŚCI“
  - M. Gamarnikow: WŁADYSŁAW BIEŃKOWSKI O POLITYCE ROLNEJ
  - I. Tomaszewski: W CZASY DYGNITARZY PARTYJNYCH
  - M. Kukiel: EUROPA A ROZBIORY POLSKI
  - POŻEGNANIE PAWŁA JASIEŃNICY
  - T. Nowakowski: ROBOTNIK WYOBRAZNI
  - R. Palester: „PRZYGODY MYŚLĄCEGO CZŁOWIEKA“ MARII DĄBROWSKIEJ
  - A. S.: SAD KAPTUREWY NAD UCZONYM
  - A. Dobrzański: SPRAWA JANA MASARYKA
  - W. Wasutyński: NASSER I KEMAL
  - A. Pomian: WICEPREZYDENT SPIRO AGNEW
  - ZA KULISMI

Prenumerata roczna: £2.2.0 lub dol. am. 5.00, F. 25.00. Cena pojedynczego n-ru: 3/6 sh., dol. am. 0.50, F. 2.50. Do nabycia w administracji: Księgarnia SPK — 20, Queens Gate Terrace, London, S.W.7 i we wszystkich księgarniach polskich.

**THE POLISH TRUSTEE ASSOCIATION LTD**

(Polskie Stowarzyszenie Powiernicze)

sporządza testamenty,  
likwiduje spadki,  
uzyskuje i przekazuje renty  
do Polski.

20, QUEENS GATE TERRACE,  
LONDON, S.W. 7.  
Tel.: 584 0747

**ZBRODNIĄ KATYŃSKĄ**  
W ŚWIETLE DOKUMENTÓW

z przedmową  
WŁADYSŁAWA ANDERSA  
Cena: 35/-

**THE CRIME OF KATYN**  
FACTS and DOCUMENTS

Cena: 37/6  
KSIĘGARNIA S.P.K.  
20, Queens Gate Terrace,  
London, S.W. 7.